

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Antoniego Małckiego 3.

Administracja otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

PODRÓŻE MIKOŁAJA II PO EUROPIE.

Od kilku tygodni Mikołaj II podróżuje i składa wizyty, a prasa europejska, zwłaszcza niemiecka i austriacka gorliwie zajmuje się temi odwiedzinami, przypisując im wielką doniosłość polityczną. Jeżeli tym wyznaczonym aktem grzeczności nietylko w artykułach dziennikarskich, ale nawet w uroczystych przemówieniach i w poufnych wyznaniach dyplomatów, nadano szczególne znaczenie, to widocznie związane są z nimi pewne kombinacje polityczne, lub przynajmniej pewne oczekiwania i nadzieje. Zaznaczyć jednak trzeba, że prasa rosyjska jest w danym wypadku bardzo wstrzeźliwą, i chociaż nie ukrywa swego zadowolenia, nie upatruje wcale w podróży carskiej zapowiedzi nowej ery stosunków międzynarodowych.

Natomiast dzienniki berlińskie i wiedeńskie, nie wyłączając tych, które wyrażają poglądy sfer urzędowych, straciły poczucie miary nietylko w powitaniu cara, ale bardziej jeszcze w przypuszczeniach i przewidywaniach politycznych, z faktu odwiedzin jego dowolnie wysnutych. Po rozbujaniu nadziei przesadnych w naturalnym porządku rzeczy przyszło rozczarowanie i zawód. Na uprzejme przyjęcie sfer dworskich w Wiedniu i zachwyty ludności stołecznej odpowiedział Mikołaj II grzecznym lecz chłodnym podziękowaniem, na napuszony toast Wilhelma II, przypominający tradycyjną przyjaźń dwóch dynastii — dowcipną impertynencją, że »żywi dla Niemiec i domu cesarskiego te same uczucia przyjazne, jakie żywił jego ojciec«, który, jak powszechnie wiadomo, nienawdził wszelkiej niemczyzny. W ostatniej redakcji toastu carskiego, ogłoszonej urzędowo, zmieniono później to wyrażenie, ale telegraf rozniósł już je po całej Europie.

Jeżeli sfery interesowane zachowanie się cara przykro uraziło, to nam, Polakom i wogóle wszystkim ludziom, których oburzało płaszczenie się przed majestatem samowładztwa — sprawiło nawet ono pewną przyjemność chwilową. Nie możemy jednak poprzestać na zaznaczeniu tego wrażenia, musimy przyjrzeć się całej tej »komedy pomyłek«. Tryumfalny przejazd młodego cara po Europie jest faktem politycznym, nasuwającym wiele uwag, które chociaż pobieżnie roztrząsnąć należy.

W toastach i przemówieniach uroczystych, zarówno jak w artykułach dziennikarskich, położono główny nacisk na to, że podróż cara do Wiednia i Wrocławia jest najlepszą rękojmią zachowania pokoju europejskiego. W wystąpieniach urzędowych był ten frazes zupełnie właściwym, ale przerabiany na różny sposób w prasie stał się w końcu śmiesznym. »Najwyższe dobro narodów cywilizowanych« zasłoniło wszelkie inne względy,

pogodziło wszelkie sprzeczności interesów państwowych. W zapędzie oratorskim Wilhelm II zapewnił, że car rosyjski »chce wojsk swoich używać tylko w służbie cywilizacji i dla ochrony pokoju«, od siebie zaś dodał, że 5-ty czy 6-ty korpus, do którego przemawiał, »wyteżoną pracą« do tego samego celu zdążyć będzie. Z mimowolnem komizmem tego przemówienia iść może w porównanie tylko wywód *Przeglądu polskiego*, że ponieważ wszystkie narody europejskie pragną pokoju, »więc naród polski równie jak inne«, z tego zapewne powodu, że jest także europejskim.

Z tej troski o »najwyższe dobro narodów ucywilizowanych« przeziera dosyć widocznie obawa niezręcznie maskowana. Dla Rosyi obecnie pokój jest pożądanym, bo polityka jej w ciągu lat ostatnich święci ciągle zwycięstwa, dzięki przyjacielskiemu porozumieniu się mocarstw, w sprawie chińsko-japońskiej, bułgarskiej, armeńskiej i t. d. I carowi, i kierownikom tej polityki przyjemną być może tylko ta obawa wojny, tak wyraźnie pod pozorem troski o pokój okazywana. W ciągu lat dziesięciu zmieniły się zupełnie stosunki polityczne pod tym względem, chociaż ugrupowanie mocarstw nie zmieniło się wcale.

W r. 1887 Rosya zaplątała się w sprawę bułgarską. Stosunki międzynarodowe były tak naprężone, że cesarz Franciszek Józef w przeddzień zebrania się delegacji austriacko-węgierskich oświadczył, iż położenie jest bardzo niejasnem i za kilka tygodni nastąpić musi rozwiązanie niepokojącej zagadki. W tym samym roku Moltke podczas rozpraw w parlamencie o siedmioletnim budżecie wojskowym, wygłosił słowa, które wzbudziły niepokój w całej Europie: »jeżeli wniosek rządu zostanie odrzucony, to jestem pewny, że wkrótce będziemy mieli wojnę«, a Bismarck dodał, że wybuch wojny z Francją możliwy jest tak samo w ciągu 10 dni, jak 10 lat.

Aleksandrowi III zawdzięcza Europa utrzymanie pokoju, on zaś powściągliwości swojej zawdzięcza nazwę *mirotworca*. Rosya nie miała wówczas sprzymierzeńców, finanse jej były mocno zachwiane a siła zbrojna zaczynała się dopiero organizować. Zmarły car istotnie poświęcił się dla Rosyi, poskromił wrodzoną dumę swoją i z niewzruszonym spokojem przyjmował policzki dyplomatyczne. »Policzki? — my przyzwyczajeni jesteśmy do nich — zauważył w poufnej rozmowie dymisyonowany dyplomata rosyjski, nie mamy pod tym względem przesądów europejskich.« Dzięki temu brakowi przesądów społeczeństwo rosyjskie zrozumiało politykę cara i za zniewagi mściło się tylko na tych, których bezkarnie poniewierać mogło. Wkrótce potem car dał dowód większego jeszcze poświęcenia, przemógł swój wstręt do Francyi republikańskiej, zbliżył się do niej

i wreszcie zawarł z nią sojusz, który przede wszystkim poprawił znakomicie finanse rosyjskie.

W ostatnich latach życia ponury samowładca mógł już spokojniej patrzeć w przyszłość, mógł przewidywać, że bliską już jest chwila, kiedy syn jego i spadkobierca

»W rury, w piki, w działa ustrojony,

»Wyjdzie odbierać monarchów pokłony«

i weźmie odwet za upokorzenia, przez ojca doznane.

Można powiedzieć, że bezpowrotnie minęły już te czasy, kiedy zwyciężkie Niemcy »bały się tylko Boga«. Dziś w równej mierze boją się i Kozaków, i Francuzów, i nawet współzawodnictwa angielskiego na rynkach zamorskich. Nazywają Niemców narodem wojskowym, ale ich animusz rycerski wydaje się teraz bardzo podejrzanym. Ci, co wachali proch przed dwudziestu sześciu laty, dziś są opasłymi piwoszami lub zużytymi niedołączkami. Wogóle narody europejskie odwykły od wojen, najświęszą praktykę ma tylko Rosya i poniekąd Francya, która nie wychodziła przynajmniej z wpraw w wojnach kolonialnych. Wbrew powszechnemu ale niezasadnionemu mniemaniu, »kupiecka« Anglia jest obecnie narodem najbardziej wojowniczym, chociaż ma stosunkowo najmniej liczną armię. Od r. 1860 do ostatnich czasów Anglicy prowadzili trzydzieści kilka wojen w różnych stronach świata. Nie były to na ogół wielkie wojny, ale one poniekąd sprawiły, że tylko w Anglii opinia publiczna więcej ceni interes narodowy i państwowy, niż »najwyższe dobro ludów cywilizowanych« i że polityka angielska pomimo wyrachowania kupieckiego jest najśmielszą, najbardziej skłoną do działań stanowczych.

Należy sobie doskonale uprzytomnić i ciągle o tem pamiętać, że rządy i narody, należące do trójprzymierza obawiają się — nawet nad miarę niebezpieczeństw rzeczywistych — Rosyi. Widocznem to było w ich polityce od lat kilku, widocznem jest w dziennikarstwie, przedstawiającem bądź co bądź opinię publiczną, a stwierdzonem zostało ostatecznie w ciągu dwóch tygodni minionych. W Wiedniu zachowano przynajmniej względy przyzwoitości i nie posunięto uprzejmości do poniżenia się dobrowolnego. Tradycya starej dynastyi i starej monarchii dopomogła do zachowania właściwej miary. Ale parweniuszowstwo pruskie nie umiało wynaleść średniej drogi między przechwałkami i uniżonością. Zachowanie się cesarza Wilhelma jest zniemiennym objawem obecnego stosunku Niemiec do Rosyi.

Bardzo liczni i do wszystkich niemal stronnictw należący w społeczeństwie naszym ludzie łączyli i teraz jeszcze ściśle łączą nadzieje i przewidywania polityki narodowej z kombinacją trójprzymierza. Dla nas więc niepoślednie znaczenie mieć musi fakt, że kombinacja ta wskutek całego szeregu błędów politycznych mocno została zachwiana i że dziś trzyma się ona tylko, jako organizacya obronna przeciw Rosyi, której trójprzymierze boi się, mówiąc po prostu, i dlatego szuka z nią porozumienia.

Po wizycie cara w Paryżu lepiej jeszcze wyjaśni się stosunek dwóch obozów, na które dziś dzieli się Europa. Z dreszczem namiętnego oczekiwania wygląda niecierpliwie Francya swego oblubieńca, z zazdrosnym niepokojem rządy państw środkowo-europejskich. Odwiedzi car i Londyn, gdzie go z pewnością uprzejmie przyjmą, chociaż polityka angielska trzyma się dotychczas wiernie zasad, wyrażonych w zdaniu: »Od wieków byliśmy dumni ze swej niezależności i z tego, że nie byliśmy z zasady niczyimi nieprzyjaciołmi i nie mieli-

śmy żadnych zobowiązań wobec niego«. Dziś, jak to otwarcie zaznacza prasa rosyjska, politycznym dążeniem Rosyi stawi opór tylko Anglia. Wprawdzie dotąd przechylała się Anglia na stronę trójprzymierza, ale w ostatnich czasach pod wpływem zniechęcenia do dwuznacznej i chwiejnej polityki niemieckiej zjawiała się myśl bezpośredniego porozumienia się z Rosyą. Porozumienie takie jest możliwem, a polityka angielska nie lęka się zwrotów stanowczych. Gdyby zaś ono kiedy nastąpiło, potężny dziś cesarz niemiecki drżałby, jak ongi »król pruski lub saski, lub jaki inny Niemiec«, żeby nie wypaść z »łaski carskiej«.

Troska o »najwyższe dobro ludów« jest w danym wypadku następstwem poczucia słabości własnej. Równowaga sił jest jeszcze wprawdzie zachowaną, ale przed dziesięciu laty i później trochę była znaczna przewaga po stronie trójprzymierza, w ostatnich latach wskutek nieudolnej polityki utracona. Wielka kombinacya polityczna, dla określonych celów wytworzona, już przez to samo, że sprowadzono ją do roli biernej, rozluźnić się musiała; dziś istnieje wprawdzie formalnie, ale dlatego głównie, że zabezpiecza spokój składających ją państw, nie ma już ani spójni wewnętrznej, ani niewątpliwej łączności interesów. Istnieje, bo żadna inna kombinacya nie jest możliwą w tej chwili.

Ale nietylko obawa wojny była przyczyną owacyi dla cara. Obok troski o »najwyższe dobro ludów cywilizowanych« umysły sfer rządzących, zwłaszcza zaś cesarza Wilhelma zaprzęta troska o »najświętsze dobra« — w liczbie mnogiej. W przemówieniu swem do dowódcy korpusu 5-go wysławiał on »wodza najpotężniejszej armii, który chce wojsk swych używać tylko w służbie cywilizacyi«, chwalał za to, że »dążeniem jego jest skupić wszystkie ludy europejskiej części świata dla ochrony najświętszych dóbr«. Wiadomo, jaką »służbę cywilizacyjną« pełnić mogą wojska w czasie pokoju i jakich »dóbr najświętszych« na rozkaz swych najwyższych wodzów bronią. Zbyt pospieszem jest przypuszczenie, że dwaj młodzi cesarze porozumieli się w sprawie wspólnego działania przeciw »wrogom wewnętrznym« wszelkiego rodzaju, tym bardziej że nie ma na razie żadnego powodu do takiej akcji. Ale frazes Wilhelma II dosyć jasno tłumaczy, dlaczego Rosya i Niemcy, pomimo zaostrzającej się w wielu punktach sprzeczności interesów narodowych, chcą i zapewne będą działać solidarnie. Rządy tych państw zespala obawa o »najświętsze dobra« — a znaczna część tych dóbr powstała z dokonanej na nas grabieży.

Inne zaś dobra, których armie państw obu bronić mają — to wszelkie przywileje społeczne i przywileje władzy monarszej, nie wyłączając przywileju »złego rządzenia z łaski bożej«, jak drwią sobie zachowawcy angielscy.

Od kongresu wiedeńskiego do r. 1848 jawnie i bezpośrednio, później zaś pośrednio Rosya była podporą wszelkiej reakcyi w Europie, wojska carskie przywracały zachwiany porządek, groza, którą budziły, wystarczała zresztą do powstrzymania wszelkich ruchów rewolucyjnych. Mikołaj II, jeżeli istotnie pragnie pokoju i zgody między mocarstwami, to dlatego, że chciałby zająć stanowisko, które zajmował niegdyś pradziad jego, Mikołaj I. Poważnie zaniepokojony o »najświętsze dobra« cesarz Wilhelm wie o tem, że gdyby w państwie jego wybuchnęła rewolucya, zbrojne tłumy »mużyków rosyjskich« rychło przywróciłyby porządek w Niemczech i nauczyły rozumu i pokory zbuntowanych Michelów.

Nie współczucie bezinteresowne, ale dobrze zrozumiany interes własny skłaniał ongi wszystkie stronnictwa opozycyjne w Europie do popierania sprawy polskiej. Chciały mieć one w Polsce szaniec, któryby bronił Europę od zalewu hord barbarzyńskich, gotowych zawsze spieszyć na pomoc wszelkiej reakcji. I dziś socjaliści niemieccy otwarcie wyznają, że nawet szlachecka Polska byłaby drzazgą, wbitą w łapę niedźwiedzia północnego, któryby nie mógł już podnosić tej łapy na istotne dobra cywilizacyi, na zdobyte krwią i pracą mozolną prawa i swobody ludów europejskich.

Przedstawiciele reakcji społecznej i politycznej w Europie witają w Mikołaju II znakomitego sojusznika, »wodza najpotężniejszej armii«, gotowej na skinienie carskiej ręki spieszyć na obronę »najświętszych dóbr«... tyranii, przywileju, wyzysku.

Nic dziwnego, że i nasi reakcyoniści, którzy otwarcie wygłosili niedawno, że »trzeba wybierać między despotyzmem a anarchią« cieszą się również z wizyt carskich, z porozumienia między monarchami i z nadziei utrzymania pokoju.

W rozmowie z korespondentem dziennika wiedeńskiego wyraził się jakiś dyplomata rosyjski, że wojny pragną dziś tylko ultramontanie skrajni, ci mianowicie, którzy spodziewają się przywrócenia władzy świeckiej papieża, Polacy i Anglicy. Znaleźliśmy się w sąsiedztwie zaszczytnem, bo tacy ultramontanie, jeżeli istnieją, są bodaj jedynym stronnictwem, mającem stałe zasady, a Anglicy jedynym dziś bodaj narodem, zdolnym nie tylko do zrozumienia swych interesów, ale i do śmiałego działania w ich obronie. Pragnienie nasze musi zresztą pozostać platonicznem, bo ani na zachowanie pokoju, ani na wywołanie wojny wpływu mieć nie możemy. Niewątpliwie pewna część społeczeństwa polskiego, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, znużona i wyczerpana codzienną walką z uciskiem, z niecierpliwą nadzieją oczekiwała chwili wybuchu wojny, rozumując, że gorzej być nie może, a może być lepiej. Było to rozumowanie błędne, bo gorzej być może, niż jest obecnie, a wojna, na naszym prowadzona terytorjum, nawet najpomyślniejsza wielkie wyrządziłaby nam szkody. Ale bardziej jeszcze błędnem, z gruntu nawet fałszywym jest zdanie, że »łatwo przewidzieć, co by w takiej wojnie naród nasz mógł stracić, bardzo wątpliwe — czyby na niej co zyskał«. Taki frazes ogólnikowy łatwo powiedzieć, ale równie łatwo wykazać można, co byśmy zyskali. Niema zysku bez straty, t. j. bez pewnego nakładu sił i środków. Jakkolwiek — powtarzamy — losy pokoju i wojny bynajmniej od nas nie zależą, pożądaniem byłoby szczegółowe wyjaśnienie: ile i co w różnych okolicznościach stracić, ile i co prawdopodobnie zyskać możemy. Tymbardziej należałoby to uczynić, że, jak nas zapewniają ci, co najlepiej może uczynićby to mogli — jest rzeczą względnie łatwą takie obrachowanie przypuszczalne. Bo chociaż dla »ochrony najwyższego dobra« i »najświętszych dóbr« porozumienie między mocarstwami nastąpiło, możliwość wojny nie jest wyłączoną w przyszłości, a dokładny rachunek przypuszczalnych strat i zysków musi mieć wpływ nie tylko na zachowanie się społeczeństwa w chwili stanowczej, ale i na cały charakter polityki narodowej.

Jeżeli ludzie, którzy dotychczas dowodzili, że dążenia naszej polityki narodowej łączą się ściśle z kombinacją trójprzymierza, twierdzą teraz, że kombinacja ta w razie wojny daje nam niewątpliwe straty, a bardzo

wątpliwe zyski, to ogół z tych słów wyciągnąć może logicznie jeden tylko wniosek, że w takim razie należy szukać porozumienia... ze stroną przeciwną. Bo ogół społeczeństwa nie może odczuwać zbyt żywo ani troski o zachowanie pokoju, ani tymbardziej troski o »najświętsze dobra«, i nie dorósł jeszcze do takiej wysokiej mądrości politycznej, która interes narodu utożsamia z interesem reakcji społecznej.

Ze względu na swe dążności reakcyjne zachowawcy nasi łączą się z chórem, witającym cara, jako urodzonego obrońcę cywilizacyi, t. j. przywileju społecznego, a ze względu na swe dążności ugodowe cieszą się niepomnie z rękoma, którą dają jego odwiedziny — utrzymania pokoju. Polityka ugodowa w zaborze rosyjskim nie miała gruntu w szerszych warstwach społeczeństwa, dopóki istniała chociażby w odległej przyszłości możliwość wojny między Rosją a Niemcami i Austrią. Jest to — dla ogółu przynajmniej — polityka rozpaczy, polityka smutnej konieczności, trzeba więc, chcąc przygotować grunt dla niej, wydrzeć społeczeństwu wszelką nadzieję, wykazać niemożliwość zmiany warunków zewnętrznych, więcej nawet, zapewnić, że gdyby wypadkiem jakaś zmiana nastąpiła, byłaby raczej szkodliwą niż korzystną. Niebezpieczeństwo wojny, rokującej nam »łatwo przewidziane« straty a wątpliwe zyski — usunięte, porozumienie między monarchami nastąpiło, pokój zagwarantowany, a wraz z nim możliwość czynnego udziału w »służbie cywilizacyi«, dla »ochrony najświętszych dóbr« — przywilejów klasowych, stanowisk, urzędów dworskich, mandatów i t. d.

Stało się to bez nas i chociażbyśmy wyteżyli wszystkie siły, nie moglibyśmy temu przeszkodzić. Sąd opinii polskiej o najnowszym zwrocie polityki europejskiej nikogo zapewne nie obchodzi, ale dla siebie samych winniśmy dokonać sumiennej oceny tych wypadków, zrozumieć ich znaczenie, wyjaśnić ich wpływ na sprawę naszą. Tryumfalny pochód carski po stolicach Europy przypominał nam dużo rzeczy, o których zapominać zaczęliśmy, których nie rozumieliśmy należycie. Do szeregu pouczających doświadczeń przybyło nowe, siwierdzające raz jeszcze, że między naszym interesem narodowym a reakcją polityczną nie może być sojuszu i że polityka nasza musi być przede wszystkim polityką wolnej ręki.

Nie trzeba jednak temu porozumieniu się dwóch cesarzy, ani tym owacyom na cześć cara nadawać przesadnego znaczenia.

Była to raczej próba tylko zawarcia sojuszu i to próba niezbyt udana. Jeden dzień pobytu w Paryżu, jeden toast tam wzniesiony zburzyć może odrazu wrocławskie zamki na lodzie. Interesy polityczne rządów i narodów tak są dziś poplątane, że ani dobre chęci monarchów, ani starania dyplomatów nie usuną możliwości starć i nieporozumień, nie zabezpieczą »najwyższego dobra ludów cywilizowanych« od wypadków, którym zapobiedz, których nawet przewidzieć nie podobna.

Nie jest polityką oczekiwanie wypadków, ale tymbardziej nie jest nią wmawianie w siebie, że sprawy świata muszą iść torem, który im wyznaczają monarchowie i dyplomaci. *Casu omnia reguntur* — trzeba mieć tylko żywe, czujne poczucie swego interesu, żeby z każdego przypadku skorzystać, każdą sposobność wyzyskać.

LUD WIEJSKI W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM WOBEC RZĄDU I JEGO USIŁOWAŃ.

III.

Służba wojskowa. System uwalniania. Przekupstwa przy poborze. Wpływ służby wojskowej. Ogólna niechęć do niej. Walka z kościołem katolickim. Tolerancja religijna w zasadzie i w praktyce. Charakter walki religijnej w Królestwie. Sztuczne rozszerzanie prawosławia.

Jedną z dziedzin, mających własność wywoływania szczególnego »zadowolenia« wśród ludu jest u nas *służba wojskowa*. Nie ulega wątpliwości, że po zaprowadzeniu powszechnej służby wojskowej obowiązek ten stał się o wielekreć znośniejszym, niż dawniej za czasów Mikołaja. Sześć lat, zazwyczaj ograniczonych do czterech — to nie 25 lat mikołajowskiego soldactwa. Pomimo to pójście do wojska uważa się wśród ludu jako nieszczęście, którego każdy radby za wszelką cenę uniknąć. To też nie wiem, czy gdzieś w świecie istnieje tak szeroko rozwinięty system uwalniania od wojska za pieniądze, jak w Królestwie.

Już na długi czas przed poborem ojciec rodziny poczyną robić starania, wyszukując sobie drogi do członków komisji poborowych: naczelników powiatowych, naczelników straży ziemskiej i lekarzy wojskowych. O pośredników nie trudno, bo w każdej okolicy ludzie palcami ich sobie wskazują; są to zazwyczaj felczerzy wojskowi lub żydzi, pisarze powiatowi, gminni, pokatni doradcy i t. p. Znam żyda, karczmarza, który na uwalnianiu od wojska »zarobił« około ośmiu tysięcy rubli w jednej tylko okolicy. Są specjaliści felczerzy, którzy umieją uczynić za dobrem wynagrodzeniem »popisowego« niezdatnym do wojska: ogłuszą go, osłepią, wycięną środkami przeczyszczającymi i t. d. Istnieje gotowe organizacje tego przekupstwa przy poborze wojskowym, i to nie tylko w danym powiecie, ale w wielu różnych powiatach. Niema roku, żeby nie wytoczono głośniejszej sprawy o nadużycia przy przyjmowaniu do wojska: doszło do tego, że rząd na czas poboru przenosi znienacka urzędników komisji poborowych do innych powiatów — i to jednak nie zawsze prowadzi do celu, wobec solidarnego podziału zysków nawet dalekich komisji.

Uwolnienie syna od wojska tajemnymi drogami kosztuje od 200 do 500 rubli, a jednak chłop czy drobny mieszczanin woli tyle grosza ciężko uciulanego zmarnować, niż oddać syna na służbę w armii potomków »Oswobodziciela«. Zaprawdę, niepoehlebne to dla rządu, ale cóż robić? Prostak taki nie pojmuje zaszczytu, jakim jest służba w szeregach obrońców »wielkiej *ruskiej* ojczyzny«; nie dorósł jeszcze do ocenienia sławy, jaka czeka go za utratę nogi, a nawet życia w walce »prawosławnej« Rosyi z »niewiernym« Turkiem...

Dostawszy się do wojska, chłop czy mieszczanin polski służy zazwyczaj uczciwie, sumiennie, częstokroć lepiej, niż rodowity Rosyanin, nad którym, jak przyznają to powszechnie oficerowie, góruje sprytem i zdolnością; w duszy jednak przeklina tę służbę i rad z niej wycofać się jaknajprędzej. Zapewne, znajdzie się niejeden, którego wojsko zdemoralizuje, który nauczy się używać żargonu rosyjskiego, szafuje „*cairem i otieczestwem*“ co niemiara, nosi czapkę soldacką, śpiewa „*Oj da luli!*“, bredzi o wielkości i potędze Rosyi itp. — takich jednak jest względnie niewiele i ci po kilku miesiącach, pod wpływem drwiącego z nich otoczenia, prędko zrzucają

przybraną skórę. Najdłużej jeszcze trzyma się byłego wojaka, jako cecha czysto rosyjskiej kultury — „*krzepkie słowo*“, rozlegające się — jak mawiał Szczedrin — jak Święta Rosya szeroka i długa.

Posiada jednak służba wojskowa parę stron dodatnich. Przedewszystkiem, zabierając nam rok rocznie dwadzieścia parę tysięcy ludzi, po upływie pięciu lat zwraca nam — po odliczeniu chorych i zdemoralizowanych — przynajmniej kilkanaście tysięcy doborowego żołnierza. Jestto wprawdzie żołnierz rosyjski, ale przy warunkach odpowiednich ten sam żołnierz może się stać... nierosyjskim. Powszechna służba wojskowa niewątpliwie wykształciła nam już kilkaset tysięcy ludzi zdatnych do broni.

W swoim czasie rząd rosyjski, zaprowadzając służbę powszechną u siebie, nie mógł wyłączyć Królestwa; wiadomo jednak, że wahał się długo, a przyjąwszy tę zasadę, postarał się wszelkimi sposobami demoralizować żołnierza Polaka, by uczynić go w przyszłości dla siebie nieszkodliwym. Stąd to rozpędzanie naszych rekrutów po odległych guberniach Rosyi i azjatyckich obszarach, rozbijanie ich po kilku w rocie, nie dopuszczanie do jednego pułku poborowych z tej samej okolicy. Wszystko to, utrudniające i bez tego ciężką służbę, wywołuje tym większą dla niej niechęć.

Bywają wszakże niekiedy fakty służenia z ochotą, jak ot np. następujący. Zabrano chłopu syna do wojska i przez protekcję zaliczono do posługi w szpitalu. Gdy starszek, odwiedzając go po upływie roku, zastał go z miotłą w rękę, uprzątającego śmiecie szpitalne, natychmiast kazał mu się podać do służby we froncie: »To ty, jucho, nawet się bić nie nauczysz w wojsku, a jak przyjdzie powstanie, to z miotłą na Moskala pójdziesz?... I chłopak z ochotą przeszedł do służby we froncie. Możemy śmiało zapewnić, że takich ochotników jest niemało, a przy rosnącej wciąż świadomości politycznej naszego ludu, będzie ich coraz, coraz więcej.

Przejdźmy teraz do tej grupy zjawisk w stosunku władz rosyjskich do ludu, gdzie do zwykłego ucisku państwowego i nadużycie urzędników, przyłącza się wyraźny, z góry ułożony i z surową bezwzględnością przeprowadzony system tępienia wszystkiego, co stanowi polskość ludu — do owego „*ausrotten*“, które w mowie urzędowej, zarówno pp. Uchtomskich, jak Komarów, zarówno liberałów, jak i konserwatystów rosyjskich, nosi nazwę *obrusienienia* lub *objednienienia*. Należą do nich: walka z kościołem katolickim, propaganda ruszczyzny przez szkołę ludową i przeszkadzanie samodzielnej oświacie książkowej ludu. Ciekawą jest rzeczą, iż ten nikczemny system, skierowany wprost przeciwko ludowi polskiemu, obmyślany został i zaczął być stosowanym właśnie za panowania liberalnego »oswobodziciela«, obrońcy chłopu przeciw szlachcie — za Aleksandra II: wszystkie zamachy na kościół katolicki, szkołę i oświatę rozpoczęły się po r. 1870 i za następnego panowania potęgowały się tylko, nabierając z czasem coraz większej brutalności.

Nikt tak kategorycznie nie zaprzecza wszelkim zarzutom walki z religią i kościołem katolickim u nas, jak sam rząd rosyjski; nikt tyle nie mówi o nadzwyczajnej tolerancji religijnej prawosławia, co Synod Najświętszy i jego świątobliwy Oberprokurator. Parę lat temu czytaliśmy specjalną odezwę p. Pobiedonosiewa, tchnącą takim duchem miłości kościół ewangelickim, katolickim, mahometanom, ba! nawet pogańskim „*inorodcom*“ Azji, że i najliberalniejszy przedstawiciel »zgniłego« zachodu nie potrzebowałby się jej wstydząć. W praktyce

ta miłość i tolerancja objawia się męczeństwem Pratulina i Kroź, zamykaniem seminariów katolickich, masowem wywożeniem naszych księży, budową mnóstwa nowych cerkwi po całym Królestwie i tysiącami udręczeniami całego społeczeństwa nieprawosławnego.

Niewątpliwie, w okolicach czysto polskich Królestwa ucisk religijny mniej jest brutalnym, niż na Litwie i na wschodnim pograniczu z ludnością nawpół rusińską. A jednak każdy gwałt, zadany gdzieś katolikom, rozchodzi się donośnem echem po całej naszej ziemi, budząc głuche, strachem tylko tłumione wrzenie. Gdyby rząd rosyjski wiedział, ile tajonej nienawiści rodzi w duszy naszego ludu każda kropla krwi, wylana za drogą ludowi wiarę, każdy jęk boleści, wydarty męczennikom kozacką nahajką, każda obraza jego uczucia religijnego — przekląłby Klingenbergów, Orzewskich i Hurków, jako największych wrogów pogodzenia się Polaków z Rosyą. Tragedya krożańska, straszna samą swoją istotą, wśród ludu urosła do rozmiarów olbrzymiej rzezi. Lada bajka o zamachu na obraz cudowny, staje się legendą, która krąży uporcezywie z ust do ust, z krańca w kraniec, z wykrzykami grozy i oburzenia.

Rząd doskonale rozumie, jak niebezpiecznem jest igrać z uczuciem religijnem ludu naszego, nie umie jednak powstrzymać swoich fanatycznie prawosławnych zapędów, podsycając dzikimi gwałtami ten potężny ferment, który kiedyś przeciwko niemu się zwróci. Próżnemi są dowodzenia, że rząd przesładuje tylko politykujący katolicyzm, nie naruszając w niczem wiary ludu polskiego: przeczą temu fakty codzienne, które lud widzi i rozumie głębiej, niż sądzą zaślepieni pionierowie prawosławia. Każdy prawie krzyż przydrożny u nas, w Królestwie, ma swoją legendę walki ze strażnikami, naczelnikiem powiatu lub samym nawet gubernatorem. Każdy złamany, spróchniały szczątek Świętego Godła, na którego miejsce nie wolno stawiać nowego, jest dla ludu przypomnieniem tej bezlitosnej walki, jaką rząd rosyjski wypowiedział jego najświętszym uczuciom. Ciekawem byłoby zestawienie tych krzyżów, które lud tajemnie ponaprawiał, które wśród cieniów nocy, w najgłębszej tajemnicy popostawiał.

Gdyby nie boleść, jaką sprawia sam widok bezmyślnego ucisku, możnaby z radością wykrzyknąć: błogosławiony szatan, który podszeptną Rosyi walkę z religią ludu naszego! Widziałem w Łomżyńskim krzyże żelazne na kamiennych podstawach, których każda część gdzieindziej była zrobiona: w noc umówioną zesłała się wieś — i nad ranem wyrósł w środku jej wspaniały znak podwójnej Męki. Ksiądz odmówił poświęcenia tej bezimiennej ofiary, zarządono śledztwo; nie wykryto sprawców — a krzyż stoi dotąd — niepoświęcony, lecz tym świętszy w oczach prześladowanego ludu. Opowiadano mi, że strażnik namawiał chłopów, aby powiedzieli, że krzyż stawiają na pamiątkę ocalenia cesarza pod Borkami — odmówili. W wielu jednak miejscach lud, ulegając podobnym podszeptom, ucieka się do takich i t. p. wybiegów, nie mogąc inaczej uzyskać pozwolenia na postawienie kaplicy lub figury.

Ciekawa rzecz, czy władze rosyjskie zdają sobie sprawę z uczuć, jakie wywołuje u ludu formalne prześladowanie księży, zakazy wyjazdu do obcych parafii, przeszkadzanie objazdom biskupów i t. p. Myliłby się, kto by sądził, że fakty, które opisuje Leliwa o księżach i biskupach, na Litwie tylko mają miejsce: zupełnie to samo, dzieje się u nas. Księdzu nie wolno ruszyć się z parafii bez specjalnego pozwolenia naczelnika powia-

tu; przy każdym wyruszeniu biskupa w objazd, zostaje obudzoną całą czujność żandarmów i policyi, aby wszelkimi sposobami przeszkodzić uroczystemu przyjmowaniu biskupa przez ludność. Żandarmsko-policyjna asysta towarzyszy dostojnikowi kościelnemu krok w krok, śledzi jego ruchy, mowę, myśli niemal stara się zgadywać. A lud patrzy na to wszystko — i na złość stara się o jaknajokazalsze przyjęcie swego pasterza — pomimo zakazu wyrusza konno na jego przybycie, towarzyszy jego karecie, śmiejąc się z gniewu i pogróżek pp. naczelników.

Jeżeli tłumienie swobodnych objawów uczucia katolickiego budzi oburzenie wśród ludu, to wprost już nienawiść rodzi wszelkie pozytywne szerszenie obcego obrządku: stawianie cerkwi i „czasowni“ (kapliczek), osadzanie popów, urządzenie głośnych obchodów prawosławnych. Gorszej przysługi, jak budowanie cerkwi na placu Saskim w Warszawie, Hurko nie mógł oddać rządowi. Lud warszawski z taką nienawiścią patrzy na rosnące mury tego pomnika fanatycznej złośliwości re-negata, że dziś li tylko straża ledwie są w stanie powstrzymać zapaleńców od zmanifestowania czynem swego »zadowolenia«. A z ludem miejskim niebezpieczniej jeszcze igrać, niż z chłopami: lada pogłoska o wywiezieniu paru księży w Lublinie przed paru laty zgromadziła tłumy w jednej chwili, które za pomocą wojska trzeba było uspakajać.

Nie tykając aż nadto znanych stosunków Litwy i Podlasia, zobaczymy jeszcze, jakie wrażenie wywołują u ludu z czysto katolickich okolic Królestwa przesładowania Unitów. Zdarzało mi się nieraz widzieć tych biedaków, zatrzymujących się po wsiach polskich, w czasie tajemnej pielgrzymki do klasztorów lub na odpusty katolickie. Jaką czcią otaczano tych męczenników za wiarę! Z jakim skupieniem słuchano ich bolesnych opowiadań! Chatę gdzie nocowali Unicy, obstawiano dokoła czujną strażą — i wespół z tymi bohaterami półgłosem śpiewano błagalne pieśni. Taki wędrujący Unita znajdzie zawsze gościnę, przytułek, przewodnika i najgłębszą tajemnicę. Jak wszędzie, tak i w tem prześladowanie samo skupia najdalszych, zupełnie nieznanym sobie ludzi, organizując ich nieświadomie dla obrony i oporu.

S. K.

Sprostowanie. W artykule poprzednim w Nr. 17, str. 388, szp. 2, wiersz 3-ci od dołu zamiast: »mamy takich.. drobnych satrapów«, winno być: »mamy 84 takich drobnych satrapów«.

NASZA MŁODZIEŻ NA KRESACH WSCHODNICH.

Pogadanka kijowska.

Młodzież gimnazjalna. Stosunki szkolne. Nauka religii katolickiej. Znajomość języka ojczystego. Wpływ życia towarzyskiego. „Liberalizm“ szkoły. Co młodzież czyta? Anachronizm życia umysłowego młodzieży gimnazjalnej i uniwersyteckiej. Jednostronność i wypaczenie umysłów. Niedorzeczności polityczne.

Choć Kijów od wieków był źródłem oświaty ruskiej, choć dziś po Petersburgu i Moskwie jest on trzecim w Rosyi ogniskiem życia umysłowego, czysto-rosyjskiego, to jednak będąc centrem dla prowincyi z inteligencją polską, grupuje on znaczną ilość kształcącej się młodzieży naszych kresów i jest wcale niezłym polem do spostrzeżeń nad nią. W części okręgu naukowego kijowskiego, leżącej po naszej stronie Dniepru (Wołyń, Podole, Ukraina), kształci się w gimnazyjach

o szkołach realnych dwa tysiące Polaków-katolików, stanowiących 31% ogólnej liczby uczniów*), w pięciu zaś gimnazyjach Kijowa pobiera naukę z górą 500 naszej młodzieży. Uniwersytet kijowski liczy też studentów Polaków około 500. Tak więc liczbę młodzieży polskiej, kształcącej się w samym Kijowie, można oznaczyć na 1000, nie biorąc, naturalnie, w rachubę dzieci, uczących się w szkołach miejskich. Jest to cyfra poważna i przy odpowiednim kierunku wykształcenia taki Kijów mógłby dostarczać społeczeństwu sporego zastępu pracowników na wszelkich polach, prowadzących naród ku lepszym formom życia i dodających mu sił do ciężkiej walki, jaką dziś toczyć musi.

Nie można jednak powiedzieć, żeby rozwój umysłowy tutejszych młodych pokoleń odbywał się prawidłowo. Cięży na nim kłątwa, wisząca nad całymi naszymi kresami, pod wielu zaś względami jest o wiele gorzej, niż gdzieindziej. Wiele zjawisk smutnych bije tu wprost w oczy i prosi się o uwiecznienie na papierze. Nie wątpię też, że garska sprostowań w tym względzie przyda się czytelnikowi, jako nieostatniej wagi kartka naszego życia narodowego.

Wielu rzeczom winien tu rząd, ale za wiele też spada odpowiedzialność na nasze społeczeństwo, na starsze pokolenia i na samą młodzież. Wszystko się tu sprzymierza, ażeby jak najbardziej wypaczyć sposób myślenia młodzieży.

Zacznijmy od szkoły.

Szkola, rozumie się, jest tu czysto rosyjską, tem więcej rosyjską, niż w innych miejscowościach Polski, że mniej się liczy z polskością swych wychowanców, mniej traci czasu i energii na walkę z nią, bo mając młodzieży polskiej małą liczbę (koło 16% przeciętnie) może wiele liczyć na wpływ rosyjskiego otoczenia. Jedyny wypadek, kiedy młodzież polska z tego otoczenia się wyodrębniła — to wykłady religii katolickiej, na których Polacy razem się zbierają. Wobec tego, wykłady te, przy odpowiednim prowadzeniu — nie mamy tu na myśli jakiejś propagandy, ale wprost poważne traktowanie przedmiotu — mogłyby mieć wielkie znaczenie. Niestety, rząd zrobił co mógł, ażeby tym wykładom odebrać wszelką powagę (nawet stopień z religii katolickiej nie jest brany w rachubę przy przejściu uczniów do klasy wyższej), księża zaś, wykładający religię, t. zw. kapelani, nie umieją tak postępować, by młodzież miała poszanowanie dla nich i dla wykładanego przez nich przedmiotu. Taki np. ks. Ol., kapelan gimnazjum 1-go i 3-go zamienił swe lekcje w luźne, pozbawione wszelkiej powagi gawędy, jak je sam nazywa „biesiedy“, „biesiedki“ (religia katolicka jest wykładana po rosyjsku), podczas których pozwala swawolnym uczniom zadawać sobie najniedorzeczniejsze pytania i odpowiada na nie, obruszając się tylko od czasu do czasu w sposób jowialny. Uczniowie naturalnie niczego się nie uczą, a pod koniec kwartału odpowiadają, czytając z książki, śmiejąc się głośno z odgrywanej bez przeszkody komedii. Inny kapelan, ks. Chr., zraża znów młodzież niepotrzebną surowością, wynikającą ze szczególnej dbałości o zajmowane stanowisko i powolności wobec władzy.

W takich warunkach wykład religii żadnego wpływu dodatniego nie wywiera, i bywają takie wypadki, jak w roku zeszłym, gdy jedenastoletni chłopiec, uczeń kl.

1-szej gimn. I, podmówiony przez nauczyciela, u którego mieszkał, objawił chęć przyjęcia prawosławia! Nie mówimy już o jednoklasowych szkołkach miejskich, gdzie religia katolicka nie jest wcale wykładana i gdzie *dzieci nasze zmuszane są do słuchania nauki religii prawosławnej*.

Nigdzie może tak nisko, jak u nas, nie stoi znajomość języka ojczystego. Wobec tego, że szkoła tego języka nie uczy, jedynym miejscem, gdzieby młodzież mogła go studyować, jest dom rodzinny. Lecz, czy myślicie, że tu ktokolwiek pamięta o obowiązku uczenia swych dzieci języka ojczystego?... Nawet w domach zamożnych, gdzie środki pozwalałyby na udzielenie tego dobrodziejstwa dzieciom, nikt o naukę języka polskiego nie dba.

— Chłopiec jest tak obciążony pracą szkolną, że nie ma na to czasu, — mówił mi ojciec ucznia, kiedy mu zwracał uwagę na potrzebę nauki języka polskiego. Tymczasem jest to wykręt przed samym sobą — czas by się znalazł, zresztą wiele go na to nie potrzeba. Przeszkodą właściwą jest ciasny materializm rodziców, którzy naukę rozumieją wyłącznie, jako drogę do kawałka chleba, w najbrutalniejszym, najgrubszym pojęciu. Pewna matka mówiła mi:

— Po polsku nauczy się później, a jeżeli go teraz będziemy uczyli, to jeszcze z rosyjskiego otrzyma »dwojkę« (stopień niedostateczny), a to, wie pan, potrzebne... dla chleba.

Wiele się także przyczynia ograniczenie umysłowe rodziców, ich ignorancja co do rzeczy polskich i co do właściwego położenia naszego narodu w chwili obecnej. Nie mając pojęcia o tem, co to jest dzisiejsza Polska, jak szeroko polskość panuje, jak się rozwija i postępuje przez pogłębienie świadomości w masach ludowych na gruncie rdzennie polskim, jaką siłę rozwija nasz żywioł w walce narodowej na kresach zachodnich, widząc jedynie najbliższe sobie stosunki, gdzie polskość, do niedawna panująca, dziś kurczy się pod naciskiem praw wyjątkowych, mierzą oni kurczy się pod naciskiem praw wyjątkowych, mierzą oni tymi stosunkami całą naszą sprawę i częstokroć traktują ją, jako przegraną na zawsze. Ta właśnie ignorancja ogromnie obniża siłę odporną. Rodzice patrzą na rusyfikację swych dzieci z przykrością, ale odnoszą się do niej z pewnym fatalizmem, uznając ją, jako nieuniknioną. Utyskują na ruszczenie i, wdychając, mówią: »Taki to już teraz duch czasu...« Brak wiary w narodową przyszłość — to ciężka i zaraźliwa choroba, wywołująca bezsilność tam, gdzieby się ogromny zapas sił mógł znaleźć. Za nim w końcu przychodzi obojętność narodowa, zwłaszcza, gdy widoki materialne temu sprzyjają. Częstokroć rodzice nie dbają o polskość swych dzieci dlatego, że poczucie polskości jest w Rosyi przeszkodą do kariery, a może być nawet przyczyną... »zwichnięcia życia«. To też zdarzają się fakty świadomego wydania dzieci na rusyfikację. Znam dzieci rodziny krakowskiej, które przybywszy do Kijowa umieszczone zostały przez ojca na stancyi u Rosyanina... dla wprawy w języku rosyjskim. Przez trzy lata nie miały one książki polskiej w rękę, naokoło słyszały tylko język rosyjski, i po upływie tego czasu bardzo już źle mówiły po polsku.

W braku nauki systematycznej, znajomość języka ojczystego zdobywa nasza młodzież wyłącznie przez praktykę, przez rozmowę z najbliższem otoczeniem. Zamało atoli mamy przywiązania do tego, co swoje, z nadto ulegamy wpływowi moskiewszczyzny, ażebyśmy przynajmniej pod tym względem zachowywali się bez zarzutu. Znam wiele nienajgorszych wcale jednostek

*) W czterech szkołach katolickich liczebnie nad prawosławnymi przeważają, stanowiąc w gimn. białoceckiem 61% (prawosławnych 31%), w szkole realnej rówieńskiej 54% (prawosł. 34%), w szk. rolnej winnickiej 53% (praw. 41%), wreszcie w gimnazjum niemirowskiem 47% (praw. 41%).

śród naszej młodzieży, które w rozmowie z towarzyszami rodakami posługują się bardzo często językiem rosyjskim, widziałem w wielu uczniów i panien, uczęszczających do gimnazjum, notatki osobiste, dzienniki całe, prowadzone po rosyjsku!... Jeżeli zaś dodać, że młodzież nasza częstokroć poszukuje stosunków towarzyskich wśród Rosyan, to zrozumiemy, że otoczenie w znacznej mierze pomaga szkole w dziele rusyfikacji.

Wstęp do domów polskich dla młodzieży gimnazjalnej jest dość utrudniony. Nasze polskie życie towarzyskie zorganizowane jest na sposób europejski. Nie można być zbyt często, trzeba zachować pewne formy towarzyskie, przyszedłszy do jakiegoś domu, młodzieniec musi rozmawiać z osobami starszemi, zbliżając się do panien, czuje na sobie oko kogoś z rodziców, nie pozwalające na zbyt dużą swobodę w obejściu. To się naszej młodzieży nie podoba. Wprawdzie w całym świecie cywilizowanym stosunki są podobne, i nikt na nie nie szemrze, ale nasza młodzież widzi inne przykłady u Rosyan. U ostatnich, skutkiem niższej obyczajowości i większego próżniactwa, rozwinięta jest pod tym względem ogromna swoboda. Tam młodzież włoży się bandami do domów, gdzie są „gimnazystki“, prowadzi z nimi flirt bardzo niewyszukany, a ze stanowiska pojęć cywilizowanych nawet nieprzyzwoity, rodzice zaś patrzą na tę »niewinną« zabawę obojętnie, często nawet z przyjemnością. Gdy np. młodzież angielska lub francuska obojga poci znajduje największą przyjemność w rozrywkach fizycznych, grach, właściwych swemu wiekowi, wśród młodzieży rosyjskiej wcześniej bardzo zaczyna się pisanie listów miłosnych, krążących między gimnazjami męskimi i żeńskimi, urządzenie sobie wycieczek we dwoje i t. p. Nasza młodzież, patrząc na to, sama zaczyna w tym kierunku nabierać smaku, nie znajdując zaś w domach polskich odpowiednich warunków, zawiera na ślizgawkach znajomości z „gimnazystkami“ rosyjskimi i znajduje łatwy wstęp do domów rosyjskich, gdzie wcale swobodnie można się zabawiać. Znałem ucznia Polaka, który był u córki i synów *sprawnika*, inny znów przyjaźnił się z rodziną „okołotocznowo nadzwrotnego“ (dozorcy policyjnego). Bywali tam codziennie, bo pan domu nie miał pracy, którejby dzieci mogły przeszkadzać, rozmowy zaś z „baryszniemi“ nikt im nie utrudniał, bo policyjanci nie dbają zawiele o dobre wychowanie swoich córek.

Szkola tutejsza, nie zajmująca stanowiska tak wojowniczego wobec młodzieży, jak apuchtinowska, przedstawia o wiele większe niebezpieczeństwo, jako czynnik rusyfikacyjny. Na młode umysły, zwłaszcza na panny kształcące się w gimnazyach, robi częstokroć wrażenie wykład nauczycieli, niekiedy ludzi zdolnych, umiędzących przemawiać przystępnie z zabarwieniem uczuciowem. Młodzież nieraz nabiera zamiłowania do wykładanej przez nich literatury rosyjskiej, studjuje ją, a ponieważ żadnej innej, zwłaszcza ojczystej, nie zna, więc rosyjska umysłowość wyrasta w jej oczach do rozmiarów olbrzymich, wobec których w słabych umysłach niknie wartość wszystkiego, co polskie.

— No, powiedz mi — pytał mię raz z wielką pewnością siebie student — kto więcej wart: Mickiewicz czy Niekrasow? Mickiewicz czy *taki Ławrow*?...

Może czytelnik nie uwierzy, że ktoś śmie stawiać obok jednego z największych geniuszów ludzkości — drugorzędnego poetę rosyjskiego, lub starego emigranta, bardzo zacnego i dzielnego człowieka, ale umysłową siłą nie mogącego wcale imponować, przeciwnie czasem imponującego swą jednostronną naiwnością. Ale kto

widział ignorancję naszej młodzieży, ten się podobnemu faktowi wcale dziwić nie będzie.

Władze naukowe, rozumiejąc dobrze, czem można młodzież ująć i wyprowadzić na manowce, tolerują u nauczycieli nawet pewien stopień liberalizmu, który umie iść ręką w rękę z najbardziej antycywilizacyjnymi dążnościami. Oto dowód.

Najliberalniejszym, najbardziej utalentowanym i ogólnie lubianym przez młodzież jest nauczyciel II-go gimnazjum męskiego, pan Naumenko (naturalnie, Rosyanin, a z pochodzenia Ukrainiec, jak większość tutejszych nauczycieli). Wykłada on w wielu innych szkołach i jednocześnie jest redaktorem czasopisma *Kijewskaja Starina*. Nie można mu zarzucić sprzedajności, ani rządowej drapieżności, a jednak.... Oto w »Sprawozdaniu rocznem dyrekcji gimn. II w Kijowie« za r. 1893 czytamy:

»Zważywszy, iż, ze względu na byłe spolszczenie tego kraju i znaczną liczbę Polaków, należy zwrócić szczególną i baczną uwagę na wykład *rosyjskiej słowności* (literatury), poświęciliśmy tej kwestyi kilka posiedzeń rady pedagogicznej. Razem z p. Naumenką wybraliśmy odpowiednie tematy do ćwiczeń. Staraliśmy się, aby te tematy różniły się od zwykłego szablonu, były pociągającymi, powabnymi i rozwijającymi...«

Istotnie! tematy wybrano bardzo dobre... powabne. Młodzież na lep się bierze, choć powyższy dokument urzędowy najlepiej wskazuje, że p. Naumenko liberalizmu swego używa na przynętę do wędkii rusyfikacyjnej. Tak samo postępują inni, acz z mniejszym talentem.

Ogromną bronią przeciw rusyfikacji w rękach młodzieży mogłoby być czytanie książek polskich. Ale co do młodszych uczniów, rodzice o to nie dbają, starsi zaś dobrowolnie ruszczą się dalej, czytając z ochotą wydawnictwa rosyjskie. Przyczynia się do tego w znacznym stopniu kierunek ruchu umysłowego, panującego wśród młodzieży.

Chcąc się przekonać, co młodzież czyta, prosiłem pewnego ucznia, żeby mi zebrał odpowiednią statystykę. Po wielu zabiegach udało mu się otrzymać spostrzeżenia co do 24 kolegów z różnych gimnazyów, klas wyższych (od 5-jej do 8-jej) Okazało się, że gdy »dział społecznych« przeczytano w ciągu roku 150, a powieści 250, — poezye niewielu znalazły zwolenników, co dowodzi »poważnego zwrotu do *realności* (tak opiewało sprawozdanie) od romantyzmu« — przeczytano tylko 1 tomik Mickiewicza, 1 Krasińskiego i 3 Konopnickiej. Jak widzimy nie zawiele bada nasza młodzież piśmiennictwo ojczyste. Wobec tego nie można się dziwić, że Niekrasow okazuje się większym od Mickiewicza.

Jeden z wydawców rosyjskich wpadł na pomysł wydania artykułów publicystycznych z czasów ożywienia idejowego w prasie rosyjskiej. W ten sposób z rzeczy drukowanych po gazetach przed trzema dziesięciokami lat sklecono „działa“ Pisarewa, Szełgunowa, Riesznetnikowa i innych. Te to »działa« są dziś najbardziej poszukiwanym pokarmem postępowej części młodzieży. 6 dużych tomów Pisarewa kosztuje 6 rubli, a więc bardzo tanio. Znam z dziesięciu uczniów Polaków, co je sobie nabyli na własność, chcąc »rozwinąć w sobie zmysł krytyczny«. Ten »zmysł krytyczny« rozwija się na czytaniu powierzchownej pisaniny. Widziałem np. młodzieńca zapalającego się nienawiścią do »europejskich autorytetów« naukowych przy czytaniu wymierzonej przeciw nim filipiki Pisarewa w obronie wywodów Poucheta o samorództwie (*generatio sponta-*

nea), wywodów od trzydziestu już lat pogrzebanych przez naukę, jako opartych na fałszywej eksperymentacji. Biedny Pasteur, który tak dawno już wykazał bezpodstawność tych wywodów, który od tego czasu zdołał zostać jednym z najświetniejszych uczonych, ani przypuszczał, że po jego śmierci jeszcze «krytyczne» umysły młodzieży kijowskiej będą zapalały się ku niemu nienawiścią.

Taki uczeń nieboszczyka Piserewa, gdy mu mówił o potrzebie studyów nad arcydziełami literatury polskiej, odpowiedział mi:

— Poezya teraz, panie, w łeb wzięła. Bez krytyki nie będzie. Co Mickiewicz znaczy wobec Pisarewa...

Wogóle o młodzieży kijowskiej można powiedzieć, że przeżuwa teraz to, co na szerszym świecie dawno już w kął poszło. Powtarza się tu stara historia. Do wszelkich nowych, postępowych prądów czepiają się zawsze rozmaite głupstwa, które, w miarę rozwoju, w lepszych głowach lub warunkach, gdzie starcie poglądów i krytyka jest ułatwiona, stopniowo zanikają, w ciasniejszych zaś mózgownicach i na wszelkich partykularzach potęgują się, dopóki nie dojdą do niemożliwego absurdu. Kiedy przed trzydziestu laty w umysłowości polskiej nastąpił zwrot przeciw romantycznemu rozpasaniu, nikt pewnie nie spodziewał się, że epigoniowie tego realistycznego zastępu gdzieś nad Dnieprem będą negowali... Mickiewicz!

Mniejsza zresztą o to. Faktem jest, iż zdałoby się, ażeby ktoś wlał tu nowe życie w umysły młodzieży kijowskiej, które zanadto stwardniały w dawnych pojęciach. W mieście, liczącem 500 młodzieży uniwersyteckiej polskiej, mógłby istnieć na niewielką skalę wcale przyzwoity ruch umysłowy, zgodny z dzisiejszym duchem czasu, z dzisiejszym stanem ożywienia naszego ruchu narodowego wśród młodzieży i t. d. Tu wśród młodzieży uniwersyteckiej pokutuje jeszcze spór między kosmopolityzmem i patriotyzmem, czyli, jak tu nieraz mówią... »szowinizmem«.

Z jednej strony mamy patriotyzm bierny, obawiający się wszelkiej śmielszej myśli, wszelkich dalej sięgających zamiarów, ograniczający się do trzymania się na boku od wszystkiego i pielęgnowania tylko języka, z drugiej zaś — protest przeciw tej wazkości, polegający na traktowaniu wszystkiego ze stanowiska »bezsronnego«, to znaczy nienarodowego, częstokroć — na rozpatriwaniu rzeczy przez pryzmat rosyjski, na przyjmowaniu wszelkich możliwych głupstw »socyologicznych«, wykonywanych przez seminaryjskie mózgownice moskiewskie, a nawet na manifestacyjnym mówieniu językiem urzędowym!

Wogóle nasza młodzież ma tak wypaczone poglądy na życie społeczne, że trudno chyba gdzieindziej coś podobnego spotkać. Wpływa na to: 1-o oddalenie od szerszego świata, gdzie myśl ludzka, ścierając się z rzeczywistością, podlegając krytyce, ciągle postępuje i doskonali się, 2-o kształcenie się na t. zw. »socyologicznej« literaturze rosyjskiej.

Na charakter tej literatury złożyły się: brak życia politycznego w Rosyi i stąd brak pola do ćwiczenia się w praktycznym pojmowaniu spraw publicznych, odmienienie form życia rosyjskiego od europejskich, a jednocześnie czerpanie natchnień przez umysłowość rosyjską z Europy.

Pod wpływem tych czynników wytworzyła się cała literatura, oderwana właściwie od życia, przedstawiająca stosunki cywilizowanego świata w najfałszywszym oświetleniu i opaczająca sobie zjawiska

życia rosyjskiego. Na literaturze tej wychowały się całe pokolenia Rosyan. Nie zaszkodziło im to widocznie, co prawda, ale nie wszystko, co Rosyaninowi idzie na zdrowie, jest zdrowem dla Polaka. Gdy barbarzyńskie, twarde mózgi nowoformującej się inteligencji rosyjskiej mogły tylko zyskać na poddaniu się ultrahumanitarnym, a tem samem pseudohumanitarnym wpływom owej literatury, młodzież polska tutejsza, wyłącznie szlachecka, należąc do rasy cywilizowanej i moralnie dość wysoko ukształconej — wpada pod wpływem tych samych »*idej*« i »*principow*« w histeryę, bezpłodną w czynie, rozkładającą resztki sił, jakie posiada inteligentny żywioł polski na kresach. Rozpatrując ze swego niby humanitarnego stanowiska miejscowe stosunki polityczne, wpada ona w niesłychane niedorzeczności, których uswiadomić sobie nie może, dzięki oddaleniu od cywilizowanego, normalnie żyjącego świata, dzięki oddzieleniu od tego świata przez gęsty kordon graniczny rosyjski: przez kordon ten przenikają oderwane tylko echa tego, co się gdzieindziej dzieje, tak, rzadkie, że z nich niepodobna właściwego pojęcia o życiu europejskiem sobie wytworzyć. Trzebaby też wcale tęgich umysłów, sporego wysiłku pracy myślowej całego pokolenia, ażeby się wydobyć z tej ideowej rusyfikacji.

Trudno tu zastanawiać się dłużej nad głupstwami naszej »inteligentnej« młodzieży, popełnianymi w ocenie stosunków politycznych. Nie uwierzy mi pewnie nikt, gdy np. powiem, że sam słyszał wcale rozwiniętego studenta Polaka, utrzymującego, że zniesienie kontrybucyi, płaconej przez szlachtę pochodzenia polskiego w »zabranym kraju«, byłoby szkodliwe, gdyż dodałoby jej siły do uciskania ludu.

Dobry jest taki humanitaryzm, prowadzący naszych synów i braci do wygłaszania opinii, które od czasów powstania słyszymy ciągle z ust rozmaitych »*stanownych przystawów*« i tym podobnych obrońców postępu ludzkości.

Jak się nasza młodzież umie zachowywać pod względem politycznym świadczy fakt następujący.

Postępowi studenci Rosyanie postanowili uczcić dzień 19 lutego (rocznica manifestu carskiego, uwłaszczającego włościan) i nie pójść do uniwersytetu. Prowadzono w tym celu nader ożywioną agitację. Wielu Polaków na to się nie zgadzało.

— Powiedzcież nam, jakie są motywy podobnej manifestacji? — mówili. Czy mamy okazać swą radość z aktu carskiej łaski? W takim razie urządzmy *molebien i panichidę* (dziękczynne i żałobne nabożeństwo) za duszę Aleksandra II. Czy mamy może nie iść do uniwersytetu dla zaakcentowania, iż manifest był bardzo niedostatecznym?

Na to mówili inni, że jakkolwiekby w ten dzień miliony ludzi zyskało wolność, że bądź co bądź warto jakoś ten dzień uczcić, choćby nie idąc do uniwersytetu — aby mieć czas na krytykowanie (!) owego aktu łaski carskiej.

Przyjęto więc rezolucyę taką:

»Uznając motywowanie kierowników manifestacji za bardzo niedostateczne, uchylamy się od przyjęcia udziału w jakiejś akcji zbiorowej i agitacji, atoli przez solidarność nie będziemy przeszkadzali i do uniwersytetu nie pójdziemy«.

Rosyanie byli urażeni taką obojętnością i mieli pewien żal nawet. Do uniwersytetu jednak z 2500 przyszło tylko 6 studentów i odbyła się tylko jedna lekcya na trzecim kursie prawa. Sami subinspektorowie,

uprzedzeni przez studentów mówili profesorom: »idźcie do domu«.

W kilka dni później widziałem jak zbierano na kursie składkę na »szkołę ziemską imienia Unkowskiego« (jeden z twórców reformy 1861 r.). Widząc, że mój kolega daje rubla, biorę go na stronę i zapytuję:

Powiedz mi, czy dałeś co na wydawnictwa polskie albo na uczczenie jakiej narodowej rocznicy?

— Alboż na to zbierano jakie składki? — nie nie wiedziałem, odrzekł zdziwiony kolega.

W późniejszym wieku, gdy nadchodzi »umiarkowanie« w przekonaniach, ci sami ludzie biorą udział w uroczystych przyjęciach cara i dają składki na budowę cerkwi.

Uniwersytet przygotowuje grunt uczuciowy, a życie praktyczne i przystosowanie się do otoczenia robią resztę.

Jan Motor.

Z CAŁEJ POLSKI.

Zjazd nauczycieli śląskich. Wszechnice ludowe w zaborze pruskim. Co mogłaby zrobić w tej sprawie Galicya. Nowy kierunek wśród duchowieństwa. Patryoci białoruscy w sutannach. Sekta „kałakutów“.

W Hucie Laury na Śląsku odbył się zjazd nauczycieli niemieckich, o którym wspominaliśmy już w numerze poprzednim. Przedstawiciele szkolnictwa niemieckiego wystąpili na tym zjeździe z takim cynizmem, do jakiego nawet rosyjscy ich koledzy i naśladowcy nie są zdolni. Pomocnicy p. Apuchtina może w poufnej pogawędce wygłaszałyby podobne zdania, ale z pewnością publicznie powstydziliby się przyznać do nich. Niejaki Grosser, nauczyciel z Brzezinki pod Katowicami, w obecności 300 osób, nauczycieli i gości honorowych (inspektorów szkolnych, księży, urzędników) mówił o zadaniach szkoły w obec propagandy polskiej. Nauka od pierwszego roku powinna być prowadzona po niemiecku. Gwara śląska, t. zw. *wasserpölnisch* jest bardzo ubogą, liczy bowiem zaledwie 300—400 wyrazów. O nauczaniu dzieci w języku polskim nie można nawet mówić, bo języka tego nie rozumieją wcale. Zresztą dzieci śląskie, przychodząc do szkoły znają powyżej 100 wyrazów w swej gwarze, wszystko więc jedno czy uczyć je po polsku czy po niemiecku, bo zawsze trzeba postępować z nimi jak z istotami, które wcale mówić nie umieją.

Nauczenie religii i przygotowywanie do spowiedzi po polsku nazwał p. Grosser »największą przewrotnością«. Język polski wogóle nie nadaje się do nauki religii, zwłaszcza przy objaśnianiu czwartego przykazania należy napominać dzieci, żeby były posłuszne władzy.

Najgłówniejszą jest nauka historii i nauka o kraju ojczystym. P. Grosser zaleca nauczycielom, żeby opowiadali o Śląsku, jako o kraju odwiecznie niemieckim. Mieszkał tam zawsze lud niemiecki i tylko sąsiedztwo plemion słowiańskich oddziaływało na ludność pograniczną. Trzeba opowiadać dzieciom, że »za czasów nędznej gospodarki wielkopolskiej(?) lud śląski był tylko hordą niewolników pod władzą zdziczałej szlachty« i że dopiero rządy niemieckie stworzyły na Śląsku kulturę. Z historii Polski powinien nauczyciel przytaczać fakty, świadczące, jak źle w Polsce się działo i udowadniające, że Polacy nie są zdolni być narodem samodzielnym. Rozwodził się jeszcze ten pedagog nad sposobami krzewienia niemieczyny nie tylko przez szkołę ale i za pomocą obcowania z rodzicami uczniów. W stosunku

z rodzicami powinno być wolno w razie potrzeby używać nawet języka polskiego. Związki i towarzystwa niemieckie niechaj rozwiną energiczną działalność, żeby na każdym kroku zwalczać propagandę polską.

Grzmiące oklaski były odpowiedzią »na te jasne wywody, które z serca pochodziły i do sere trafiły«, jak powiada *Schlessische Zeitung*.

Zgromadzeni, na wniosek rektora Nitschkego, postanowili prosić władzę o uzupełnienie prawa z r. 1873 (wprowadzającego język niemiecki do szkół śląskich) i uchwalili:

1. że dzieci, które przy wstąpieniu do szkoły choć trochę (!) umieją po niemiecku, winny być zaliczone do Niemców;

2. że szkoły w górnośląskim okręgu przemysłowym mają być, jak to istniało do r. 1892, uważane jako niemieckie, skutkiem czego wolno w nich uczyć tylko w języku niemieckim;

3. że używanie »górnopolskiego« języka przy nauce — czy to w książkach szkolnych czy w wykładzie — surowo ma być wzbronione;

4. że ma być również wzbronione egzaminowanie dzieci w języku polskim, tłumaczenie ustępów z historii biblijnej i katechizmu na język polski i że należy starać się o zrozumienie wykładu niemieckiego w inny sposób.

Gdy podczas tych rozpraw ks. Świder (sam podpisuje się podobno Schwieder), znany zresztą jako przeciwnik ruchu narodowego polskiego, oburzony temi kłamstwami zawołał głośno: »*Wasserpölnisch giebt's nicht!*«, obecni na zgromadzeniu krzyčeć zaczęli: »*raus, heraus!*« i zmusili go do wyjścia.

Jest to wszakże faktem bardzo znamionym, że polskie pisma śląskie niewiele sobie robią z tego nowego zamachu na język ojczysty, nie skarżą się płaczliwie, ale z wiarą w przyszłość i z pewną dumą zapewniają, że wszelkie sposoby germanizacji pozostaną bezskuteczne.

Jakby w odpowiedzi na te zamysły germanizatorów, ze Śląska nadesłano do *Gońca wielkopolskiego* projekt zorganizowania w zaborze pruskim uniwersytetów ludowych, a raczej, na początek odczytów popularnych. Autor tego projektu, p. Joachim Sołtys, sądzi, że istniejące w znacznej liczbie towarzystwa polskie są »najodpowiedniejszą formą szerzenia oświaty i ducha narodowego«. Towarzystwa te, złożone zwykle z ludzi niewykształconych, nie posiadające należyte przygotowanych kierowników, raczej wegetują, niż żyją. Jeżeli nawet tu i owdzie znajdzie się przewodnik inteligentny, to prędko znuży się i wyczerpie, działalność jego spowzednieje. P. Sołtys radzi więc założenie »towarzystwa szerzenia oświaty narodowej«, którego czynni członkowie na zaproszenie pobliskich towarzystw wyjeżdżaliby z odczytami. Naturalnie, prelegenci nie pobieraliby żadnej opłaty, ale zwracano by im koszta podróży. W obec łatwości komunikacji urzeczywistnienie tego projektu byłoby możliwem. Szczegółów nie podajemy, bo przy bliższem rozpatrzeniu, ulegną one zapewne zmianie. Dodałbym tylko, że w większych miastach, zwłaszcza w Poznaniu, należałoby urządzać wykłady systematyczne.

»Obecne przepisy prawne — powiada p. Sołtys tego nie zakazują, a choć z czasem urządzenie wykładów takich może natrafić na trudności, jak wszystkie podobne dążenia, to wzbronienie nam tego nie mogą nigdy.«

Prosty i do skromnych sił i środków na początek zastosowany projekt p. Softysa zasługuje na szczególną uwagę. Daje on społeczeństwu polskiemu w zaborze pruskim to, czego mu brak najwięcej — inicjatywę życia i ruchu umysłowego. Ani na polu politycznym, ani nawet, przynajmniej pod pewnym względem, na polu ekonomicznym nie ustępujemy Niemcom, odporność nasza w tych dziedzinach życia jest dziś już faktem niewątpliwym. Ale jałowość duchowa wszystkich warstw społeczeństwa jest poważnym niebezpieczeństwem wobec germanizacji. Jedyne, od niedawna dopiero wychodzące pismo, które prócz polityki zajmuje się sprawami literackimi i naukowymi — nie może przecie wystarczyć potrzebom życia umysłowego, tymbardziej że przeznaczone jest wyłącznie dla inteligencji. Prasa ludowa, rozwijająca się coraz lepiej nie zaspakaja wcale tych potrzeb w warstwach niższych i średnich, ma bowiem wyłącznie charakter polityczno-społeczny. Najlepszym środkiem rozbudzenia życia duchowego są wykłady i odczyty, a w związku z nimi odpowiednio zaopatrzone czytelnie. Istniejące dziś czytelnie dają strawę bardzo skromną, zaledwie dla prostaczków wystarczającą.

Warstwy średnie i lud doszły już lub dochodzą szybkim krokiem do świadomości społecznej i narodowej, rosną i rozwijają się materialnie i zajęły już dziś takie stanowisko, że powinny wytworzyć z siebie i dla siebie siłę umysłową. Dziś każdy, kto chce kształcić swój umysł, kto ma jakieś dążenia wyższe, musi zaspakajać swój głód duchowy strawą niemiecką. W walce z germanizacją podstawa materialna jest bardzo ważną, nie mniej ważną jest karna organizacja polityczna, ale czynnikiem ostatecznie rozstrzygającym będzie nasza siła duchowa, nasza zasobność cywilizacyjna.

Niektórzy twierdzą, że lud nasz w zaborze pruskim pod względem oświaty niewiele ustępuje lub wcale nie ustępuje ludowi niemieckiemu. Bardzo to być może, bo zachwalona oświata niemiecka jest czysto formalną i bodaj nie myli się chłop polski, nazywając Niemca »głupim«. Ale właśnie dlatego tym gorliwiej powinniśmy starać się o podniesienie poziomu naszego ludu, o szerzenie wiedzy, żeby jak najrychlej żywił polski, co jest zupełnie możliwym pomimo ciężkich warunków, miał niewątpliwą przewagę umysłową. Rozbudzenie życia duchowego stokrotnie pomnoży energię naszą w walce ekonomicznej i politycznej.

Przed paru laty mówiono w Galicyi o zakładaniu wszechnic ludowych, dziś o sprawie tej nie słychać. Główną przeszkodą w urzeczywistnieniu tej pożytecznej myśli jest niewątpliwie zaognienie walki stronnictw politycznych. Każde stronnictwo chciałoby przekształcić instytucję, mającą na celu jedynie szerzenie oświaty, na swój organ agitacyjny. Niewątpliwie trudno nadać wykładom, zwłaszcza dotyczącym pośrednio lub bezpośrednio spraw społecznych, charakter ściśle przedmiotowy. Ale można uniknąć zarówno agitacji stronnicej, jak i szkodliwszej bodaj od niej tendencji moralizatorskiej, dając prelegentom zupełną swobodę wykładu w granicach, jakie zakreśla prawo odczytom publicznym. Ale w Galicyi nawet t. zw. demokraci traktują lud i wogóle »warstwy niższe«, jak dzieci, i w czytelnich swoich np. cenzurują książki. Wszyscy zresztą, bez żadnego wyjątku, boimy się swobody wyboru, bo i wyznawcy zasad radykalnych, jeżeli mają możliwość po temu, usuwają także książki, niezgodne z ich poglądami i przekonaniami. Długoletnia niewola tak zdemoralizowała umysłowość naszą i charakter, że ci nawet, którzy przeciw wszelkiemu uciskowi protestują, nie mogą

zdożyć się na taką tolerancję, jaką wyznaje każdy zachowawca angielski.

A jednak w Galicyi powinna powstać koniecznie instytucja wszechnic ludowych, która miałaby na względzie nie tylko stosunki miejscowe, ale i potrzeby umysłowe zaboru pruskiego i rosyjskiego. Połączenie systemu wykładów ustnych z amerykańskim systemem nauczania za pomocą korespondencji odpowiedziałoby temu dwójkiemu zadaniu. Do zaboru pruskiego możnaby posyłać bądź pojedyncze, bądź systematycznie ułożone odczyty, które wygłaszałiby prelegenci miejscowi. Dla dzielnic kresowych i dla zaboru rosyjskiego trzeba byłoby opracować wskazówki piśmienne, polegające na zalecaniu książek i porządku w jakim czytać je należy oraz zawierające szereg pytań, na które korespondent po ukończeniu kursu odpowiada listownie. Dzisiaj zdarza się że Polacy z zaboru rosyjskiego, nawet z Warszawy zwracają się po wskazówki i rady do podobnych instytucji, istniejących w Moskwie i Odesie, które, ma się rozumieć, zalecają tylko książki rosyjskie. Z pewnością ci sami ludzie zwracaliby się do Krakowa lub Lwowa, tymbardziej, że tego rodzaju stosunków nawet władza rosyjska nie mogłaby prześladować, a gdyby chciała — nie mogłaby im zapobiedz.

Ludem zajmują się dziś wszyscy, pracować chcą wszyscy z nim i dla niego, nawet stańczycy naradzali się nad tem, w jaki sposób na lud oddziałać można. Ale te szczerze i nieszczerze zabiegi mają zawsze na widoku bezpośredni cel polityczny. Z naszego stanowiska uważamy to w zasadzie za objaw bardzo pomyślny, bo świadczący, że lud jest już dziś poważną siłą społeczną. W ostatnich czasach duchowieństwo rozwinęło energiczną działalność dla zjednania sobie, a raczej przejednania ludu. Charakterystyczne były przemówienia na zgromadzeniach wyborców posłów do Rady państwa, ks. Fiszera i Kopycińskiego. Obaj przyznawali się dosyć wyraźnie do przekonania demokratycznych.

Na wiecu w Haczowie ks. Jan Badeni oświadczył że program stronnictwa ludowego odpowiada istotnie potrzebom ludu. W szczegółach może niektóre zapatrywania trzebaby zmienić, ale na ogół program cały przedstawia się bardzo dobrze. Wobec tego ks. Badeni wyraził życzenie, żeby zarząd stronnictwa postarał się u biskupów o cofnięcie zakazu czytania *Przyjaciela ludu* i zapewnił, że prośba mieć będzie skutek pomyślny. Nie zgodzono się na to, bo biskupi powinni bez prośby znieść zakaz, jeżeli nie jest uzasadniony, ale sam fakt tej propozycji jest wielce znamienitym.

Ciekawe są również uchwały wiecu duchowieństwa katolickiego w Przemyślu, trzymane przez parę tygodni w tajemnicy i teraz dopiero, zapewne po otrzymaniu zezwolenia władzy duchownej, ogłoszone. Zgromadzeni księża, wyznając zasadę, że duchowieństwo powinno stać ponad stronnictwami, zalecają mu popieranie dążeń katolickich bez względu na to, z jakiego obozu politycznego pochodzą. »Zważywszy jednak że w myśl encykliki *Rerum novarum* głównym obowiązkiem państwa, a także duchowieństwa, jest opiekowanie się biednym narodem (?), który nie mogąc sam sobie dopomóc, mimowoli pada w objęcia stronnictw socjalno-demokratycznych i radykalnych, obiecujących mu opiekę i pomoc, zgromadzeni księża dyczezyi przemyskiej, wyrażają przekonanie, że to nie tylko nie sprzeciwia się zasadzie postawionej w pierwszej rezolucji, ale przeciwnie, odpowiada intencjom ojca św., jeżeli duchowieństwo przez zakładanie nowych ludowych towarzystw politycznych katolickich (na wzór niemieckich

Kathol. Bauernvereine), jakoteż popieraniem istniejących już, dopomagać będzie narodowi (?) do osiągnięcia należnych mu praw. Zgromadzeni księża dyccezji przemyskiej gorąco zachęcają księży, by nie tylko usilną pracą w kościele, szkole i parafii, ale także pracą na niwie obywatelskiej, przez zakładanie i czynne popieranie towarzystw przemysłowych, kółek rolniczych, czytelni ludowych i t. p. starali się lud podźwignąć moralnie i materyalnie.

Zasługuje też na uwagę następująca uchwała:

»Zważywszy, że każda dotychczasowa akcja wyborcza wywoływała pośród ludu coraz silniejsze narzekania zwłaszcza z powodu dotychczasowego składu centralnego komitetu wyborczego, zgromadzeni księża uznają potrzebę zmiany organizacji wyborczej w tym kierunku, by tenże był więcej, niż dotychczas reprezentantem wszystkich warstw narodu.

Dażności demokratyczne duchowieństwa, które z ludem bezpośrednio się styka, lepiej niż kto inny znać może interesy jego i potrzeby i które samo w znacznej części pochodzi z ludu, są objawem zupełnie naturalnym. Ruch ludowy ma niewątpliwie wśród księży przyjaciół i zwolenników ukrytych ale szczerych. Lecz duchowieństwo dyccezji przemyskiej, które chce być »wszystkiem dla wszystkich«, wyrażając swoją sympatię dla sprawy ludowej, pragnie zmonopolizować zajęcie się tą sprawą dla siebie. Łączy się ono, czy też zamierza dopiero połączyć się z t. zw. »związkiem chłopskim« i przekształcić go na »związek katolicko-ludowy«. Jest to ta sama taktyka, której użyto przeciw socyalistom, zakładając t. zw. »przyjaźnie« robotnicze. Związek katolicko-ludowy będzie miał, zdaje się, na celu przeciwdziałanie stronnictwu ludowemu. Zresztą i to należy mieć na uwadze, że duchowieństwo jest korporacją, podlegającą ścisłej karność i że między biskupami galicyjskimi nie tylko niema takiego np. Kettelera, ale wszyscy oni bardzo wyraźnie zaznaczyli solidarność swoją z interesami hierarchii społecznej. Być może, że wszystkie fakty, które powyżej zaznaczyliśmy, są oznakami nowego zwrotu, czy raczej odzwrotu ze stanowiska, które dla sprawy kościoła okazało się niebezpiecznym, ale być może również że są tylko zręcznym manewrem przedwyborczym.

W sprawie układów pomiędzy rządem rosyjskim a Watykanem, o której pisaliśmy w numerze poprzednim, zamieścić *Dziennik poznański* ciekawe wyjaśnienie. Korespondent petersburski tego pisma twierdzi, że podczas pobytu nuncjusza Agliardiego w Petersburgu poruszono istotnie projekt zaprowadzenia języka rosyjskiego w nabożeństwie dodatkowym, ale duchowieństwo stanowczo przeciw temu się oświadczyło. Natomiast niektórzy księża Polacy twierdzili, że w dyccezji mohylewskiej przy spowiedzi i nauczaniu katechizmu pożądanem byłoby używanie języka białoruskiego. Ta kwestya, która wywołała zajęte spory, może być poruszona przy rokowaniach. Zdaje się, że korespondent jest dosyć przychylnie dla tego niefortunnego pomysłu etnografów duchownych usposobionym i nie rozumie, że otwarcie tej furtki ułatwiłoby rządowi rusyfikację kościoła na Litwie. Nikt nigdy nie zabraniał księżom używania w razie potrzeby języka ludowego do objaśnień przy nauce katechizmu lub przy spowiedzi. Nie trzeba na to wcale pozwolenia Rzymu, jeżeli więc przy układach sprawę tę poruszono, to widocznie chodzi jeszcze o co innego, mianowicie o wprowadzenie języka białoruskiego do nabożeństwa dodatkowego. Zaznaczyliśmy już, że właściwie byłoby to równoznacznem z wprowa-

dzeniem języka rosyjskiego. Katolicy Białorusini, którzy nawet religię swoją nazywają »polską« pierwsi zaprotestowaliby gorąco przeciw używaniu ich języka ojczystego.

W piśmie rosyjskiem *Russkoje słowo* znajdujemy kilka pobieżnych wiadomości o sekcie »kałakutów«, istniejącej na Podlasiu która powstała po r. 1875. »Istota »kałakuctwa« — mówi korespondent — »polega na tem, że sekciarze nie odwiedzają cerkwi, nie chrzczą dzieci, i grzebią zmarłych bez udziału duchowieństwa. Małżeństwa, zwane »krakowskimi«, zawierają potajemnie w lesie lub w innym miejscu przy udziale polskich włóczęgów, mianujących się »księżmi z Krakowa«. Wielu z pomiędzy bardziej jakoby cywilizowanych »kałakutów« stara się udawać katolików i chodzi do kościoła. Niektóre ich obrządku wydają się nader dziwnymi. Udają się oni tłumami na trzęsawiska w głąb lasu i odprawiają tam swoje nabożeństwo. Czasem zgromadzają się w chacie jednego z sekciarzy i słuchają objawień, jakie im głosi jeden z uczestników w ekstazie«. Sekta to — jak zaznacza korespondent — nader liczna, ponieważ należy do niej częstokroć cała ludność wielu osad wiejskich na Podlasiu.

Trudno powiedzieć, czy korespondent jest tak naiwnym, czy naiwnego udaje. Ci mniemani sekciarze są to po prostu unicy »oporni«. Pozbawieni pomocy duchownej istotnie odmawiają zbiorowo modlitwy w ustroniach leśnych i chyba z tego powodu uważa ich korespondent za sekciarzy. Tacy »kałakuci« są i na Litwie, a z pewnością znacznie wrośnie ich liczba, jeżeli projekty patryotów białoruskich w sutannach zostaną urzeczywistnione.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 9 września.

Pogrzeb Pawińskiego. Zachowanie się sfer urzędowych. Nekrolog w *Warsz. Dzienniku*. Niedoszła mowa prof. Zengera. Polityka ugodowa i rząd. Uгода *Czasu i Słowa* z *Warsz. Dziennikiem*, p. Markgrafskim i cenzurą. Wyzyskiwanie dażności ugodowych dla celów rosyjskich.

Okoliczności, towarzyszące pochowaniu zwłok zmarłego świeżo Pawińskiego, mogą służyć za ciekawy przyczynek do charakterystyki zmian, jakie w ostatnich czasach zaszły w stosunkach polsko-rosyjskich.

Zmarły, jak większość profesorów b. Szkoły Głównej, owiany był duchem jej założyciela Wielopolskiego i przez naszych »ugodowców« uważany za swego człowieka. To poniekąd było przyczyną, że pogrzeb jego starano się wyzyskać do celów, nie mających wspólnego z uczczeniem pamięci i zasług zmarłego badacza dziejów.

Jak zwykle w podobnych razach, sukurs przyszedł z Krakowa w postaci nowej w naszych stosunkach manifestacji, mianowicie listu kondolencyjnego, wysłanego do rektora uniw. warszawskiego przez rektora krakowskiego, o czem zresztą pisałem poprzednim razem.

Niewłaściwie skierowany ten wyraz uczuć oburzył tujejsze społeczeństwo całkiem słusznie. W chwili gdy uniwersytet warszawski chylił się do ostatecznego upadku skutkiem tego, że dostał się w ręce ludzi, mających głównie na widoku rusyfikację, w chwili, gdy po usunięciu z katedr wszystkich niemal, najzasłuższych nawet Polaków, szkoła ta rozwija w całej pełni działalność, najszkodliwszą dla naszego społeczeństwa i cywilizacji, gdy istotnie już przestała zasługiwać na miano uniwersytetu, wszechnica

jagiellońska przysłała jej niejako świadectwo, że zasługuje ona na takie traktowanie, jak świątynia wiedzy, że dzisiejsi jej gospodarze są godnymi przedstawicielami wiedzy i oświaty.

Mniejsza zresztą o to. Ciekawą jest bardzo rzecz zachowanie się w danym razie urzędowych sfer rosyjskich.

Władze uniwersytetu warszawskiego przesłały do Krakowa odpowiedź z podziękowaniem za kondolencję, wyrażając po łacinie swe uczucia dla wszechnicy jagiellońskiej. W tem niema nic dziwnego. Ale zato uderzającą nowością był artykuł poświęcony zmarłemu w *Warsz. Dniwniku*, napisany... gorąco, bolejąco nad niepowetowaną stratą. Można by istotnie sądzić, iż administrację rosyjską w Królestwie bardzo boli to, że Polsce ubył znakomity badacz dziejów ojczyźstych, a uniwersytetowi warszawskiemu profesor Polak. Wypowiedziano tam wiele pochwał dla zmarłego, między innymi nawet to, że studenci bardzo go kochali, jakby władzom rosyjskim istotnie miłą była zażyłość między profesorem Polakiem a młodzieżą.

Jednym słowem, możnaby powiedzieć, że przy trumnie historyka nastąpiło zbratanie się polsko-rosyjskie, że wobec świeżej, jednakowo dotykającej wszystkich śmierci zapomniano sobie dawne urazy i połączono się dla oddania zmarłemu czei należnej. Byłoby wszystko pięknie, gdyby nie drobna okoliczność, mianowicie, że profesor Zenger (czy też Saenger, nie wiem bowiem jak pisze swe nazwisko łacińskim alfabetem) chciał w imieniu uniwersytetu przemówić nad grobem... po rosyjsku. Zanadto jednak liczyły władze na ugodowe usposobienie ze strony polskiej: nieprzyzwoita propozycya nie pozyskała zgody i profesor literatury łacińskiej musiał się zadowolnić wydrukowaniem swej mowy w *Warsz. Dniwniku*.

Wszystko to, razem wzięte, jest dowodem, że stosunki polsko-rosyjskie istotnie zmieniły się w pewnym kierunku. Gdyby był Pawiński umarł przed paru laty, nie byłoby ani wymiany komplementów między stańczykowskim Krakowem a urzędową Warszawą, ani gorącego nekrologu w *Warsz. Dniwniku*, ani wreszcie nieszczęśliwej próby ze strony p. Zengera.

Przedewszystkiem ujawnia się tu nowe stanowisko sfer rządowych wobec naszej polityki ugodowej.

Jeżeli do niedawna z całą słusznością można było mówić, że wszystkie wykrzywania się i pocieszne grymasy, mające służyć, jako wyraz naszych uczuć wiernopoddańczych i usposobienia ugodowego, nie znajdują ze strony rządu żadnej odpowiedzi, to dziś już twierdzenie takie byłoby błędem. Mamy już dziś jawne dowody, że stanowisko sfer rządowych zmieniło się w tym względzie, a ludzie stykający się bliżej z temi sferami i umiejący patrzeć, dużo więcej jeszcze powiedzieć mogą.

Faktem jest, iż rząd począł przywiązywać dużą wagę do rozwoju w naszym społeczeństwie kierunku, zwanego ugodowym. Nie wie wprawdzie nikt, nawet działacze rządowi tu na gruncie, do jakiego stopnia na ten kierunek można liczyć, nie mają bowiem pojęcia, czy dążności ugodowe ogarniają szerokie sfery, czy też ograniczają się do tej garstki, która wszędzie się wpycha, przybierając charakter reprezentacyi narodowej. Nie wiedzą też przedstawiciele władzy, do jakiego stopnia przedstawiciele naszego lojalizmu gotowi są posunąć się w swej uległości. Tego zresztą nie można wiedzieć, tego sami ugodowcy wiedzieć nie mogą, bo, nie mając wypracowanego programu, o własnej polityce mogą sądzić tylko z tego, jak się wypowiadają ludzie, uznani za kierowników stronnictwa, o ile takie zbiorowisko ludzi, którzy między sobą nie zdołali się jeszcze porozumieć, można stronnictwem nazwać. Weźmy np. ostatni wypadek, mianowicie niepomysłną próbę p. Zengera. Gdyby to

np. zależało od p. Spasowicza, to p. Zenger bez przeszkody mógłby był przemawiać na pogrzebie mową Puszkina, natomiast p. Baranowski, jestem święcie przekonany, nigdyby się na to nie zgodził...

Nie wiedząc atoli, jak wielką jest dla Rosyi wartość nowego kierunku, sfery rządowe rozumieją, że jest już początek, jest coś, co przy odpowiednim pielęgnowaniu może się dalej rozwijać na pożytek »szerokiej ojczyźny«. Chcąc ten rozwój przyspieszyć, postanowiono mu pomagać.

Pomocy tej zaczęto udzielać przedewszystkiem przez rządową publicystykę. Część prasy rosyjskiej, a wśród niej *Warsz. Dniwnik*, zaczyna gorliwie współdziałać najszej publicystyce ugodowej w szerzeniu dogmatów, na których ugoda ma się opierać. Mamy już nawet publicystę rosyjskiego, żandarma Markgrafskiego, którego śmiało można zaliczyć do szkoły Koźmianów i Tarnowskich, ze względu na wygłaszane zasady i na sposób argumentacyi.

Z drugiej strony, popiera się z urzędu polską prasę ugodową i narzuca się jej kierunek reszcie. Kiedy np. *Czas* krakowski, zamieścił swój znany artykuł z powodu koronacyi, prezes warszawskiego komitetu cenzury, dając naganę redaktorom warszawskim za ich zachowanie się wobec uroczystego aktu, stawiał im za przykład artykuł *Czasu*, mówiąc: »Tak panowie powinniście pisać!«

Nie przeszło to bez skutku, a dowód tego mamy w ostatnich artykułach prasy warszawskiej z powodu przejazdu cara przez... Pelcowiznę.

Bratnie *Czasowi* warszawskie *Słowo* dało dobrowolnie swój klasycznie wiernopoddańczy artykuł. Przed wydrukowaniem go atoli redakcya rozesłała do wszystkich pism rodzaj okólnika, z zawiadomieniem o tem, co ma zamiar zrobić, ażeby koledzy mogli się do tego zastosować, jak im się podoba*). W naszych warunkach podobny okólnik różna się rozporządzeniu komitetu cenzury, tym bardziej, że ze strony ostatniego wywarto nacisk w tym samym kierunku. Tak więc władze udzielają swego poparcia ugodowcom, ci ufni w to poparcie, wywierają presyę na opinię, a ta z musu lub przez tchórzliwość presyi tej w znacznej mierze ulega.

Jednocześnie z tem poparciem dla propagandy ugodowej, przedstawiciele rządu, według instrukcyi, starają się już ciągnąć korzyści z nowego kierunku dla sprawy »objedynienia«. Zaczęło się to od narad z ks. Radziwiłłem i innymi nad sposobami wzięcia w ręce »oświaty« ludu. Dziś mamy nowy fakt w próbie z mową prof. Zengera.

Gdyby rachunki władz nie okazały się mylnymi, gdyby z polskiej strony okazano gotowość do tak dalekich nawet ustępstw, rosyjska mowa profesora Zengera na polskim i katolickim pogrzebie w Warszawie byłaby dość ważnym precedensem, na który w przyszłości z korzyścią możnaby się było nieraz powołać.

Tego rodzaju zapędy ze strony rządu i jego działaczy nie wzmacniają popularności kierunku ugodowego. Społeczeństwo nasze jest dość naiwne w polityce, dość niewyrobione, ażeby je można było w różnych chwilach tumanić ułudnymi planami, ale dość ma zdrowych instynktów na to, żeby się nie zdawać dobrowolnie na rusefikację.

* *

*) Jest to także nowość w naszych stosunkach. Dotychczas bowiem w podobnych wypadkach żadna redakcya nie śmiała postawić samowolnie kroku, bez naradzenia się z kolegami z innych pism. Dostyć przypomnieć z przed pięciu lat fakt zamieszczenia wspólnie ułożonego orędzia redaktorów warszawskich z powodu zajść w teatrze rosyjskim i odezwę, przypominającą rocznicę 3-go maja, orędzia, po którym nastąpiło biecie redaktorów przez studentów. *Przyp. autora.*

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 10 września.

Łaskawość cesarska. Prześladowanie języka polskiego. Zmiany w prasie i nowe pisma. Dwie wieś.

Dwudziestu Polaków, przedstawicieli arystokracji i duchowieństwa miało zaszczyt witać Mikołaja II we Wrocławiu i przypatrywać się manewrom 5-go (poznańskiego) korpusu w Zgorzelcu. Z tej okazji »tytuły, wstęgi, ordery spłynęły nam na sto piersi«, właściwie na 70, w tej liczbie na 7, a raczej na 8 piersi polskich, bo oprócz 7 obdarowanych orderami, p. Żółtowski dostał tytuł szambelana. *Kuryer poznański* martwi się, że nie było »równouprawnienia« w tej okoliczności i że łaska monarsza spłynęła na Polaków wązkim tylko strumykiem. Pociesza się jednak, że »nie straciliśmy życzliwości monarszej« i że »Najjaśniejszy Pan okazał wielką łaskawość naszym ziomkom«, mianowicie »zwracając się z kieliszkiem i uśmiechem bardzo łaskawym« do ks. arcybiskupa, co »przy takich okazjach jest szczególnym dowodem łaskawości Jego«. Ks. Stablewski »miał zaszczyt siedzieć« w sąsiedztwie pary cesarskiej i rozmawiać z nią. Rozmawiał też Wilhelm II »bardzo łaskawie« z p. Teodorem Żółtowskim. Nieprzyczajony do sprawozdań dworskich organ naszych ugodowców, płacze się i powtarza, jak to widać z ustępów przytoczonych, myli się ciagle w używaniu wielkich i małych liter, a nawet gubi podmiot w zdaniu. Ale, pomimo widocznego zakłopotania, nie traci rezonu i z »łaskawości« cesarskiej wyciąga wnioski na poparcie swej polityki.

Nie mamy wiadomości o tem, w jaki sposób ks. Stablewski i p. Kościelski witali cara. Krąży tu pogłoska, że autor »Marsylianki w Peterhofie« i frazesu o tysiącletniej kulturze, która łączy nas z Niemcami przeciw Rosyi, zapewniał obecnie cara, że Polacy znają język rosyjski, jako język bratniego narodu. Miała to być odpowiedź na kilka wyrazów powitania, wymówionych jakoby przez cara po polsku. Niewątpliwie jednak cała ta wiadomość jest wierutną bajką.

»Dobry kawał historii pruskiej przeszedł przed nami« — rzekł cesarz Wilhelm do dowódcy korpusu poznańskiego. Tak, »dobry kawał historii«, cały szereg wspomnień tych chwil, w których »zdobywają sławę króle, tysiącami giną chłopcy«, tych chwil, kiedy pułki poznańskie raźnie szły do boju, a muzyka na ochotę grała im zakazane dziś pieśni polskie. Rozczuliło się serce cesarskie tem wspomnieniem i »łaskawie« trącił się kieliszkiem z arcybiskupem, a piersi kilku panów polskich i księży ozdobił orderami.

Ale nawet w dniu, poświęconym tym wspomnieniom, w dniu uroczystości sedeńskiej wyraźnie zaznaczyli Niemcy stosunek swój do Polaków i języka polskiego. W Zbyszyniu komisarz obwodowy na uroczystem zebraniu towarzysstwa wojskowego, składającego się przeważnie z Polaków, zabronił mówić po polsku. A kiedy jeden z uczestników zakazu nie posłuchał, wydobyl p. komisarz szpadę i groził nią każdemu, kto osmieli się odezwać po polsku.

W Brodnicy (Prusy Zachodnie) w dzień »Sedanfestu« podsłuchał syn dyrektora gimnazjum, że dwaj koledzy jego, uczniowie, rozmawiają po polsku. Młody patriota zakazał kolegom mówić po polsku, twierdząc, że w dniu tak uroczystym tylko po niemiecku mówić wolno, a gdy go nie usłuchali, pobiegł ze skargą do ojca. Dyrektor pochwalił postępek syna, zgromił oskarżonych i raz na zawsze zakazał uczniom mówienia po polsku w szkole i po za szkołą. Pedagog brodnicki przekroczył granice swej władzy, bo przepisu, zakazującego uczniom mówić po polsku niema,

ale zwierzchność z pewnością nie ukarze go za to nadużycie, a uczniowie muszą służyć dyrektora.

Hakatyści wciąż wojują o język polski. Na wniosek p. Krzymińskiego postanowiono na wystawie pszczelarskiej w Inowrocławiu pozwolić na umieszczenie napisów polskich. Oburzył się na to strasznie *Geselliger* grudziądzki i wystąpił z artykułem, że jeden jest tylko język krajowy — niemiecki. *Posener Tageblatt* napadł znowu na mleczarnię w Wolsztynie, której zarząd chociaż z Niemców się składa, rozsyła ogłoszenia po polsku. Jakiś oberżysta, prześladowany przez hakatystów, dał do pism niemieckich ogłoszenie »zamiast przysięgi«, że z powodów, od niego niezależnych, musi mieć napis polski nad gospodą dla furmanów.

O prześladowaniu języka polskiego w szkole pisano już tyle, że nowych faktów przytaczać nie warto, bo są zazwyczaj powtórzeniem znanych. Zaznaczymy wszakże fakt, dowodzący, jak wyglądają w praktyce ustępstwa w nauce religii, którym przed paru laty organy stronnictwa dworskiego nadawały tak wielkie znaczenie, że lżyły każdego kto w te obietnice nie wierzył. W szkole miejskiej (mieszanej) w Poniecu wykładają dzieciom religię po niemiecku. Dzieci polskie uczą się jak papugi, nie rozumiejąc ani słowa i powtarzają różne dziwolagi. Wskutek tego rodzice w czerwcu r. b. podali prośbę, opatrzoną 60 podpisami, o wykład polski. Władza szkolna w odpowiedzi oświadczyła, że dzieci dostatecznie władają językiem niemieckim, żeby pobierać w nim naukę religii. Przed trzema laty, kiedy polityka dworska tryumfowała, zapewniano społeczeństwo, że dzięki jej rząd zgodził się na uwzględnienie żądań rodziców w nauce religii, i że to ustępstwo mieć będzie skutki doniosłe. Dziś jak zaznacza *Orgdownik*, organy ugodowe przepełnione są skargami, podobnymi do powyższej. Nie przeszkadza to im jednak wychwalać swej mądrości politycznej i chlubić się mniemaniami jej zdobycami — naturalnie, w wyrażeniach ogólnikowych. W dziennikarstwie naszym zapowiadają różne zmiany. Poseł Głębocki od 1 października nie będzie redaktorem *Dziennika poznańskiego*. Następcą jego ma zostać podobno p. Puffke. Mówiono przez czas jakiś, że będzie nim p. Rabski, który przestanie redagować *Przeгляд poznański*. Byłaby to zmiana radykalna, ale prawdziwości tej pogłoski zaprzeczono. Ustąpienie p. Rabskiego z *Przeглядu* związane jest jakoby z pewną zmianą w kierunku i sposobie prowadzenia pisma. Czy to będzie zmiana na lepsze — wątpimy, chociażby z tego względu, że p. Rabski jest dziś najwybitniejszą siłą literacką w naszej dzielnicy.

Od października powstają także nowe pisma. W Poznaniu wychodzić zacznie *Praca*, pismo poświęcone sprawom rolnictwa, handlu i przemysłu. Brak takiego pisma w języku polskim dawał się uczuwać dotkliwie i *Praca* znajdzie z pewnością wdzięczne pole działania, zwłaszcza, że traktować zamierza nietylko o sprawach Księztwa, ale i o sprawach ekonomicznych wszystkich dzielnic Polski. Do licznego już zastępu pism miejscowych przybywa *Gazeta kościańska*. Jakkolwiek niektóre tylko z pism miejscowych świadome są swych zadań i stanowiska, jakie w sprawach publicznych zająć winny, wszystkie one jednak samem istnieniem swoim świadczą o coraz szybszym rozwoju społecznym mieszczaństwa i ludu. O ile zresztą nie są zależnemi od wydawców mecenasów, mają zwykle wyraźne dążności demokratyczne.

Goniec wielkopolski podaje kilka szczegółów o kolonizacji niemieckiej w parafii świerzyńskiej. W Belęcinie komisya kolonizacyjna sprzedała dwie ostatnie parcele. W dobrach tych, mających 5000 morgów obszaru osiadło 50 rodzin niemieckich. Dawna właścicielka p. Mieczkowska miała urzędników gospodarskich wyłącznie Niemców. Wszyscy oni »zaoszczędzili« sobie sporo grosza, niektórzy po 10.000

talarów i wykupują teraz posiadłości polskie. Obecnie myśli komisya parcelować Klenczewo, a potem Zimnicę i Górkę; kiedy to nastąpi, czysto polska parafia świerzyńska stanie się niemiecką. Gospodarka szlachecka prowadzi nie tylko do sprzedaży ziemi Niemcom, ale i ułatwia im nabywanie. Jest w okolicy wieś polska, która wkrótce pójdzie na sprzedaż. Słusznie *Gonice* doradza, żeby zawczasu pomyślano o rozparcelowaniu jej pomiędzy Polaków. W tych okolicach, gdzie komisya Niemców osadza, należałoby koniecznie osadzać Polaków, żeby nie było zwartych mas ludności niemieckiej.

Byłe znalazły się pieniądze na przeprowadzenie parcelacji, nabywców Polaków nie zabraknie. *Tageblatt* podaje ciekawą historję wsi Staniewa. Przed dwudziestu laty było tam 20 gospodarzy Niemców, teraz zostało już trzech tylko, bo znowu dwa gospodarstwa wykupili chłopcy polscy. Porównanie historii Staniewa i historii Belęcina jest bardzo pouczającym i chyba komentarzy nie potrzebuje.

J. M.

Prusy Zachodnie 10 września.

Zakaz używania języka polskiego. Sprawa „Sokoła“ grudziądzkiego. Przeszkody, stawiane towarzystwom polskim. Epidemia i odpust.

Zaznaczono już nieraz, że Polacy w Prusiech Zachodnich podlegają prawom i ograniczeniom wyjątkowym. Nie wydano wprawdzie dla naszej prowincyi specjalnej ustawy antypolskiej, ale dlatego zapewne, że jest ona zbyt techniczna, bo rozporządzenia administracyjne doskonale ją zastępują. Władze miejscowe zakazują, co gdzieindziej, nawet w Księstwie jest dozwolonem, według swego widzimisię tłumaczyć ustawy zasadnicze i określają prawa obywatelskie. W ostatnich czasach pomysłowość prawn-administracyjna w dwóch głównie rozwija się kierunkach, mianowicie w sprawie towarzystw polskich.

Niedawno (data 21 sierpnia) landrat powiatu sztumskiego wydał następujący okólnik (Nr. 1020):

»Do wszystkich wójtów, przewodniczących gmin wiejskich i folwarcznych, jako też do zarządów policyjnych w Kiszporku i Sztumie.

»Często zdarza się, że osoby, które — aczkolwiek pochodzą z ludności, mówiącej zwykle po polsku, o tyle władają niemieckim językiem, aby w takowym móz się wystarczająco zrozumiale wyrażać — przy rozprawach u władz częstokroć i coraz więcej (in zunehmender Häufigkeit) władania językiem niemieckim się wypierają (ableugnen) i twierdzą, że tylko polskim językiem władają, tak że ich wnioski, ewentualnie z przywołaniem tłumacza, po polsku są przyjmowane i załatwiane.

»Te dążności, które stanowczo zwalczać należy, są tymbardziej nieuzasadnione, że wskutek postępowego rozwoju szkolnictwa, liczba osób, którym brakuje dostatecznej znajomości języka krajowego (?) naturalnie coraz się zmniejsza i tylko w pojedynczych wypadkach zdarzyć się może, że czynność władz musi być dokonywana w innym języku.

»Dlatego zalecam ustanowionym władzom i urzędnikom używanie języka polskiego przy wszelkich rozprawach urzędowych zasadniczo wykluczyć i dopuszczać go tylko wyjątkowo, w pojedynczych wypadkach, kiedy po sumieniu zbadaniu stosunków okaże się, że porozumienie się w języku niemieckim nie jest możebnem.

»Że przy posiedzeniach zebrań gminnych i zastępców gmin wyłącznie po niemiecku się rozmawia, uważam za tak naturalne, (selbstverständlich) że zbytecznem jest jeszcze osobno do tego powracać.

v. Schmeling.«

Ludziom, nie znającym naszych stosunków wydać by się mogło po przeczytaniu tego »ukazu« landrata, że urzędnicy pruscy uwzględniają istotnie język polski w rozmowie z interesantami. Tymczasem na każde zdanie, wygłoszone po polsku, słyszymy stereotypową odpowiedź: *Hier wird nur deutsch gesprochen*. Zdarzało się przecie, że sądy skazywały na karę pieniężną ludzi, którzy powołani na świadków nie chcieli składać zeznań po niemiecku, bo dostatecznie języka tego nie znają. A niedawno w Domaniewie przełożony gminy, czyli wójt zawiadomi miejscowe towarzystwo polskie, że rozprawy toczyć się powinny po niemiecku, bo on musi być obecnym na zebraniu, a języka polskiego nie zna. Naturalnie, wymaganie wójta jest zamachem na prawa obywateli, w konstytucyi zapewnione, ale kto wie, czy władze wyższe, a nawet sądy nie przyznają mu słuszności. Wymagają już dziś przecie od towarzystw naszych, żeby składały swe ustawy w przekładzie niemieckim, każą tłumaczyć na niemiecki sztuki teatralne, które mają być przedstawiane i utwory poetyckie, które mają być deklamowane publicznie.

Policya w Grudziądzu zażądała od miejscowego »Sokoła« przedstawienia jej ustawy towarzystwa w tłumaczeniu niemieckim. Zarząd »Sokoła« żądaniu temu odmówił, wychodząc z zasady, że według § 2 prawa o stowarzyszeniach te tylko towarzystwa, które mają charakter polityczny lub zajmują się sprawami publicznymi, winny posiadać ustawy i przedstawiać je policyi w brzmieniu niemieckim. »Sokół« jest towarzystwem gimnastycznym, może więc obywać się bez ustawy i jeżeli ją ma, to tylko dla własnego użytku. Gdy pomimo to policya żądanie ponowiła, wniósł zarząd »Sokoła« skargę do prezesa regencyjnego w Kwidzynie, a gdy tenże sprawę w myśl policyi rozstrzygnął, odwołano się do naczelnego prezesa (b. ministra oświaty) p. Gosslera w Gdańsku. Ale i p. Gossler był tego samego zdania, co jego podwładni, i w d. 25 sierpnia odpowiedział na piśmie, że zażalenie odrzuca, jako nieuzasadnione. Prezes naczelny wygłasza zasadę, że tylko policya może rozstrzygać, czy towarzystwo jest politycznem i czy wogóle podlega § 2 prawa o stowarzyszeniach. Wszelkie zaś wyjaśnienia piśmienne i dołączane do nich ustawy powinny być redagowane w języku niemieckim.

»Sokół« grudziądzki, przeszedłszy wszystkie instancje władz administracyjnych, nie daje za wygraną i zamierza udać się na drogę sądową, mianowicie przedstawić całą sprawę trybunałowi administracyjnemu.

Dla naszych towarzystw stanowcze rozstrzygnięcie sprawy jest bardzo ważnem. Gdyby bowiem utrzymało się zdanie władz miejscowych, że mogą one dowolnie określać charakter stowarzyszeń, byłby wielu towarzystw polskich został zagrożony lub przynajmniej wielce utrudniony. Są już teraz tacy prawoznawcy, którzy utrzymują, że każde towarzystwo polskie, dlatego tylko że jest polkiem — jest politycznem. A towarzystwa polityczne podlegają różnym ograniczeniom i nie mogą tworzyć związków. Niemcy zrozumieli, że towarzystwa są naszą organizacją obronną i wszelkimi sposobami starają się ją rozluźnić i osłabić.

Polskie towarzystwa ludowe powstają jednak pomimo wszelkich przeszkód nie tylko ze strony władzy, ale i ze strony księży germanizatorów. Ci ostatni — na co skarżą się niekiedy pisma miejscowe — występują przeciw towarzystwom narodowym, chociaż mają one charakter katolicki. Lud w Prusiech Zachodnich dochodzi do świadomości i dojrzenia pod naciskiem systemu rządowego, chociaż w niektórych okolicach należy jeszcze wielu naszych do „*Vereine*“ niemieckich, zwłaszcza do t. zw. „*Kriegsvereine*“. W tym roku jednak zauważyli Niemcy, że udział Polaków w uroczystości sędańskiej mniej był liczny, niż dawniej.

Wspomniałem o przeszkodach, jakie stawiają władze towarzystwom polskim. Najnowszym-pomysłem jest zakazywanie zebrania z powodu jakoby nieodpowiedniego lokalu, co już powtórzyło się kilkakrotnie w różnych miejscowościach. Albo znowu, jak przed paru dniami w Kamieniu, właściciel lokalu, podmówiony przez Niemców, odmawia go w ostatniej chwili.

Znany z wydalenia pisarzy katolików i z zamknięcia katolickiego domu dla chorych landrat tucholski, Wensky, zakazał odpustu w Śliwicach, przypadającego na 30 sierpnia. Powodem zakazu była epidemia krwawej biegunki, jakoby grasująca w Śliwicach. Według prawa landrat zakazać odpustu nie może, wolno mu było jedynie odwołać jarmark i zabronić stawiania bud, ale p. Wensky przypomniał sobie czasy *Kulturkampf* i telegraficznie zawiadomił proboszcza, że »odbycie odpustu celem zapobieżenia rozszerzaniu się epidemii jest zabronionem«. Proboszcz, ks. Sychowski nie zwracał uwagi na ten zakaz niewłaściwy i lud ściągnął tłumnie do Śliwic. Epidemia nie przeszkodziła zresztą w trzy dni później licznym zgromadzeniom Niemców w rocznicę bitwy pod Sedanem. *Wil.*

Z GALICJI.

Lwów 13 września.

Udział duchowieństwa w życiu politycznym. Zjazd księży w Przemyślu. Znaczenie pewne tych uchwał. Polityka biskupia. Związek chłopski. Wiec ludowy w Ilazowie. Epizod z ks. Badenim.

Życie publiczne w Galicji zaczyna przybierać znamiona coraz to bardziej interesujące. Do czynnego w niem udziału zgłaszają się ci nawet, którzy niedawno jeszcze stronili od wszelkich objawów ruchu polityczno-społecznego zadawalniąc się wygodną rolą biernej, do niczego nie obowiązującej, zarazem jednak bezsilnej obserwacji. Widzowie przemieniają się w aktorów. Zjawisko to, samo w sobie do pewnego stopnia pocieszające, zawdzięczyć należy niewątpliwie przedewszystkiem ruchowi ludowemu, który nie tylko wśród ludu silną dłonią toruje drogę obywatelskiej samowiedzy, ale energicznym, śmiałym swym wystąpieniem na widowie publiczną, całe społeczeństwo rozruszał. Nie wszyscy to przyznają, tak jednak jest w rzeczywistości.

Obudziło się też z uspienia i apatyi duchowieństwo galicyjskie. Ogół kleru — jako taki — odnosił się dotąd stale z dziwną obojętnością do ścierających się w społeczeństwie prądów polityczno-społecznych. Działali zaś tylko biskupi, posługując się od czasu do czasu niższemu duchowieństwem jako powolnym narzędziem do stłumienia wszelkich żywszych objawów, nie noszących na sobie cechy klerykałno-konserwatywnej a tem samem uznanych z góry za wrogie kościołowi i porządkowi społecznemu. Taktyka ta, jak wiadomo, nie przyniosła spodziewanych skutków, przeciwnie w następstwach okazała się najbardziej opłakaną dla powagi kościoła i jego biskupów. Obecnie w zachowaniu się duchowieństwa zaznacza się zwrot, o ile sądzić można, stanowczy, ogół księży podnosi głos w sprawach publicznych i sposobi się do czynnej pracy na tem polu. Mniejsza, czemu należy w pierwszym rzędzie przypisać tę zmianę postawy kleru, czy istotnie encyklice papieskiej „*Rerum novarum*“, która wszakże natychmiast po ogłoszeniu powinna była donośny odgłos w całym duchowieństwie wywołać, czy też stwierdzonemu osłabianiu się wśród ludu zaufania do przedstawicieli kościoła i religii, czy wreszcie innym względem, natury mniej może idealnej a więcej praktycznej i świeckiej, dość, że teraz właśnie, przed zbliżającymi się wyborami, które nie wiadomo, co przyniesie

mogą, księża poczuli się wreszcie do obowiązku czynnego wystąpienia, do zbiorowego sformułowania zapatrywań swoich na bieżące sprawy społeczne i polityczne.

Znamienny ten objaw byłby w zasadzie nawet wcale pożądanym, gdyby duchowieństwo, liczące w szeregach swoich niemało jednostek patryotycznych i szczerze sprzyjających ludowi, miało rzeczywistą możliwość swobodnego działania w duchu swoich istotnych przekonań. Niestety, przeszkadza temu w wysokim stopniu zależność ogółu księży, tych zwłaszcza, którzy w hierarchii kościelnej niżej stoją, od wyższych władz duchownych, mianowicie od galicyjskiego episkopatu, oddanego, jak wiadomo, duszą i ciałem polityce na wskroś świeckiej i wysługującego się gorliwie sferom konserwatywnym, wpływowym i możnym, które wbrew wymaganiom ducha czasu, wyłącznie dzierżą w swej dłoni ster rządów krajowych. Ta wyższa polityka biskupów galicyjskich, z zadaniami kościoła nie właściwie nie mająca wspólnego, a zawsze i wszędzie niechętna demokratyzowaniu się społeczeństwa i faktycznym interesom szerokiich mas ludu wroga, ciężarem swym spada na ogół duchowieństwa, które bardzo często w jaskrawej sprzeczności z osobistymi przekonaniami jednostek musi spełniać bezwzględnie rozkazy swych władz i na tej podstawie nieraz wbrew swej woli nadużywa powagi swojej i kościoła dla celów wyraźnie stronnicych.

Tak było dotąd, a że w bliskiej przyszłości nie będzie inaczej, o tem nie wątpi, kto zna trochę usposobienie najwyższych sfer duchownych w Galicji, wyraźniej mówiąc biskupów lwowskiego, krakowskiego i tarnowskiego. Wobec decydującego w galicyjskiej hierarchii kościelnej wpływu tych sfer czynny udział duchowieństwa w życiu publicznym może oznaczać jeno chwilową zmianę taktyki, bądź wskazaną z góry, bądź *tacito consensu* tolerowaną, nie jest zaś bynajmniej i nie będzie tak rychło ani wyrazem szerszego zainteresowania się sprawami ludu, ani zapowiedzią uwzględniania istotnych jego potrzeb, społecznych i narodowych.

Prawdziwości powyższych słów nie obala też wcale treść uchwał, powziętych na pierwszym politycznym zjeździe księży, który w ostatnich dniach sierpnia odbył się w Przemyślu. Obrady — uczestniczyło w nich około 170 kapłanów dycecejalnych — jak zapewnia *Czas* — były »bardzo ożywione, gruntowne, ale ściśle poufne«, mimo to jednak w najgłośniejszych szczegółach wyszły na jaw. Obok tematów, obchodzących wyłącznie kler — jak: potrzeba podnoszenia ducha kapłańskiego, środki do tego celu wiodące, dotyczą duchowieństwa, — rozprawiano o sprawie ludowej, roztrząsano przyczyny obniżenia zaufania ludu do duchowieństwa, radzono nad organizacją szkół ludowych. Z brzmienia rezolucji, jakie po »bardzo ożywionych« obradach przyjęto, wnosić wolno, że w zebraniu, złożonem przeważnie z żywiołów zasklepiionych w ciasnym konserwatyzmie, była i opozycja z barwą demokratyczną, wyznająca zasady postępu, świadoma rzeczywistych potrzeb ludu, pragnąca może z nim razem współdziałać rzetelnie w pracy nad uświadomieniem i uobywateleniem mas. O istnieniu takiej opozycji, o tem, że była nawet dosyć poważna, i że się z nią do pewnego stopnia liczyć musiano, zdają się świadczyć niektóre ustępy rezolucji, jak n. p. uznanie za rzecz słuszną i sprawiedliwą, żeby przy wyborach z gmin większych popierać »w pierwszym rzędzie« kandydatów z tej kuryi czyli włościan, ujemna krytyka organizacji komitetów wyborczych i wyrażone życzenie, aby one były rzeczywiście bardziej niż dotąd reprezentacją wszystkich warstw społeczeństwa, niemniej uchwała, zalecająca księżom utrzymywanie dobrych stosunków z nauczycielstwem ludowym po wsiach, i druga, gorąco zachęcająca kapłanów«, aby nietylko

pracą gorliwą w kościele, szkole i parafii, lecz także pracą na niwie obywatelskiej przez zakładanie i czynne popieranie towarzystw przemysłowych, kółek rolniczych, czytelni ludowych i t. p., lud moralnie i materialnie dźwigali... Ale też i koniec na tem. Zresztą bowiem z uchwał zjazdu technicznie stary duch klerykalnej reakcji i zaciętrzewiona, polityczna stronnictwość, w obec której postawiona na czele obrad zasada, że duchowieństwo ma być »wszystkiem dla wszystkich« t. j. że powinno stać ponad stronnictwami, wygłada po prostu na drwiny.

Oklepanym postulatem szkoły wyznaniowej zjazd wyraził zapatrywania swoje na dzisiejszą organizację szkolnictwa. Stwierdzić wypada, że postulatu tego nie biorą na seryo nawet rozsądniejsi zachowawcy galicyjscy, wystarczy tylko przypomnieć ciętą odprawę, jaką z tego powodu przed kilku laty w Sejmie dał ks. Chotkowskiemu dzisiejszy marszałek, ówczesny referent budżetu Stanisław hr. Badeni. Zjazd biadał dalej nad słabnącem zaufaniem ludu do duchowieństwa i jako *remedium* na to zalecił zreformowanie wyborczych komitetów, tem samem przyznał, że zaufanie to z ruchem polityczno-ludowym w bliskim stoi związku. Szkoda jednak, że ograniczono się do tego powierzchownego załatwienia kwestyi, dla duchowieństwa bądź co bądź nader ważnej. Rezolucye nie wspominają nic o jednej z głównych przyczyn, dla których lud z coraz to większą nieufnością odnosi się do duchowieństwa, o praktykowanym nieraz w sposób jaskrawy nadużywaniu kościoła i religii przy wyborach, o narzucaniu kandydatur ludowi niemiłych lub przezem zniechęconych i agitowaniu za nimi z ambony, konfesyonału i t. p. Uderzenie się w piersi, stwierdzenie licznych faktów z niedawnej przeszłości, byłoby wprawdzie potępieniem polityki biskupiej, pod której naciskiem cały ogół duchowieństwa stoi, z drugiej strony atoli odskłoniłoby prawdziwy stan rzeczy i wskazałoby prostą drogę do naprawy złego.

Zjazd roztrząsał nakoniec pytanie, jakie stanowisko duchowieństwo zająć ma w obec »sprawy ludowej« i uznając że 1) jedynym związkiem politycznym ludowym, który dziś przyznaje się w programie swoim do zasad katolickich, jest t. zw. »Stronnictwo chłopskie« w Nowym Sączu, że 2) związek ten ma za zadanie, przy równoczesnej obronie praw ludu, zwalczać na wiecach, zgromadzeniach i w piśmie swem *Związku* prądy radykalne, »wkradające się już to przez pisma, już przez wiece i zgromadzenia poufne coraz więcej między lud wiejski«, — wyraził gorące życzenie, »aby kapłani i wszyscy lud nasz miłujący stronnictwo to moralnie i materialnie popierali, a organ jego p. t. *Związek chłopski* prenumerowali i pracami zasilali i między ludem rozpowszechniali.« Jako jedyny warunek postawiono życzenie, aby nazwa »Stronnictwo chłopskie« technicznie kastowością i zdające się wykluczać wszystkie żywioły nie chłopskie, choć ludowi sprzyjające, zmienioną została na inną, więcej odpowiednią, n. p. »Związek katolicko-ludowy«.

Powyzsza uchwała, z powziętych na zjeździe przemyskim naszym zdaniem najważniejsza, zmierza do rozbitcia stronnictwa ludowego, i wypływa z tych samych pobudek, co akcja, wszczęta przez jezuitów krakowskich przeciw organizacyom robotniczym. Zachodzi tylko formalna różnica o tyle, że tam trzeba było stwarzać dopiero kontrminę z niczego, tu zaś znalazł się produkt gotowy, do wyzyskania podatny.

T. zw. »Związek chłopski«, założony pierwotnie przez ks. Stojałowskiego i braci Potoczków, był przez czas pewien postrachem dla klerykałów i zachowawców galicyjskich podobnie, jak dziś stronnictwo ludowe. Trwało to jednak niedługo. Wewnętrznie właśnie między założycielami wygryzły ks. Stojałowskiego, a rządy Potoczków zaczęły niebawem

przybierać cechę arystokratyczno- i konserwatywno chłopską. Ostatnimi czasy, wskutek znanych konszachcłów wyborczych, jakie przedstawiciele »Związku« prowadzili ze stańczykami, »Związek« przestał być samoistną organizacją włościańską i stracił też niemal kompletnie dawną sympatyę chłopów na rzecz stronnictwa ludowego, które po nim właściwie objęło rolę szczerzej, świadomej reprezentacji ludowych interesów i potrzeb.

O marnej egzystencji *Związku* daje wyobrażenie fakt, że na odbytem niedawno w Nowym Sączu walnem zgromadzeniu, mimo silnej, przez dłuższy czas prowadzonej agitacji zjawilo się członków-włościan zaledwie 60, a wykazany w sprawozdaniu dochód z wkładek wyniósł tylko 37 zł. Mimo to »Związek chłopski« nie przestał być groźnym dla pomyślnego rozwoju sprawy ludowej. Na wspomnianem zebraniu w którym wzięli udział wysłannicy przemyskiego wiece księży wraz z paru klerykałami świeckimi i ambitnym adwokatem neofita — dokonano uroczyste aktu oddania *Związkowi* pod komendę polityki stańczykowsko-biskupiej i uchwalono przy najbliższych wyborach stanowczo zwalczać przedewszystkiem kandydatury stronnictwa ludowego. Powtórzą się więc znowu niebawem podobne sceny, jak w roku zeszłym podczas wyborów sejmowych, przy których »Związek chłopski« odgrywał niezaszczytną rolę »nieprzyjaciela we własnym obozie«. Że jednak stronnictwo ludowe i tym razem zmoże nieprzyjaciela, choć za nim stać będą potęgi duchowne i świeckie, nie ma powodu wątpić.

Bezpośrednio po nielicznym zjeździe nowosądeckim zgromadził tysiące włościan z kilku powiatów środkowej Galicyi wiec stronnictwa ludowego w Haczowie pow. borszczowskim. Wspominamy o nim dlatego, że po raz pierwszy zmierzili się tu otwarcie z ruchem ludowym jezuita, który to fakt prasa konserwatywna umyślnie w fałszywym przedstawiła światło. Obradom przewodniczył z jednomyślnego wyboru poseł Karol Lewakowski, prezes Towarzystwa demokratycznego we Lwowie, a po zagajeniu wiece przez włościanina Stepka i po dłuższych, z zapałem oklaskiwanych wywodach p. Stapińskiego, który rozwinął program stronnictwa, zabrał głos znany z agitatorskiego talentu jezuita ks. Badeni. Tenże widząc, że ma przed sobą zdecydowanych zwolenników ruchu ludowego, sprytnie oświadczył się za wyłuszczeniem co dopiero programem i zastrzegł się jedynie co do niektórych, drobnych szczegółów, »ale o to niech się inni spierają«.

Następnie ubolewać zaczął nad zgorzeniem, wywołanem przez to, że zakazane pisemka ludowe znajdują licznych i wytrwałych czytelników, a w ten sposób powaga biskupów została na szwank narazoną, i zaproponował w końcu, aby redakcyja *Przyjaciela ludu* przesłała biskupowi prośbę o cofnięcie zakazu, z dołączeniem kilku ostatnich numerów tego pisemka na dowód, iż nie mieści się w nich nic wrogiego kościołowi, to zakaz będzie cofnięty. Z właściwego stanowiska odpowiedział na tę charakterystyczną propozycyę redaktor *Przyjaciela* Stapiński. Zakaz ustania gazetki powinien być odwołany, jako niesłuszny i krzywdzący, redakcyja wszakże prosić o to nie może, byłoby to bowiem przyznaniem się do winy niepopelnionej. Zabrał głos również poseł Lewakowski, stwierdził, że wobec czytania *Przyjaciela ludu* przynosi ujmę kościołowi a krzywdę czytelnikom i nadmienił, że oddawna już osobiście czynił zabiegi o uchylenie zakazu, jednak dotąd bez skutku. Oświadczenie ks. Badeniego uważa dr. Lewakowski za objaw zmienionych zapatrywań wyższych władz duchownych i z tego wnosi, że dalsze starania, w których sam nie ustanie, uwieńczy skutek pomyślny. Przewodniczący zaznaczył przytem wyraźnie, że przemawia wyłącznie we własnym imieniu, nie zaś

ako prezes tow. demokratycznego, ani za redakcją *Przyjaciela ludu*, który, aczkolwiek gorąco spraw ludu broni, urzędowym wszakże organem stronnictwa nie jest. Wbrew tym dobitnym zastrzeżeniom nie wahano się ogłosić w *Czasie*, że »p. Lewakowski występując jako prezes wiecu a zarazem prezes stronnictwa demokratyczno-ludowego, z największą chęcią i radością przychylił się do przedłożonej przez ks. Badeniego myśli i zaręczył, że niczego ze swej strony nie zaniedba, aby doprowadzić ją do urzeczywistnienia«. Wiadomość tę, w sporej odległości trzymaną od prawdy, podchwyciły skwapliwie pisma duchem *Czasowi* pokrewne, czemu ostatecznie w Galicyi dziwić się trudno. Dziwniejsza, że z tego samego mętnego źródła — nie po raz pierwszy zresztą, czerpie wiadomości o ruchu ludowym galicyjska prasa robotnicza, kując broń przeciw dr. Lewakowskiemu jako przedstawicielowi stronnictwa, którego nie darzy sympatją. Czy i w socyalnej demokracji popłaca zasada, że cel uswięca środki?

Prawdzie.

Z KRESÓW.

Górny Śląsk we wrześniu.

Nieśmiałość i dwulicowość naszej polityki. Potrzeba reformy w tym kierunku. Lud i kierownicy ruchu. »Towarzystwo historyczne«. Spotęgowanie działalności prasy. Potrzeba codziennego pisma. Jego zadanie.

O krzywdach, jakich doznaje tu polskość na każdym kroku i o tem, jak taki prezes regencyi z niebывałym dotąd cynizmem śmie nam urągać, wiecie dostatecznie z prasy prowincjonalnej.

Tych, którzy obojętnie wysłuchali pogrózek, a nawet najpospolitszych wyzwisk ministra Bossego z trybuny parlamentarnej, nie może też wytrącić ze stanu bierności postąpienie najświeższej daty dr. Bittera, prezesa regencyi opolskiej, w Gliwicach.

Prasa prowincjonalna spełnia swoje zadanie, zaznaczając każdy taki wyskok rasowej nienawiści, informując szersze koła. Powtarzanie wszakże tego samego w kółko, nie tylko że nic sprawy nie polepsza, ale owszem wytwarza duszną atmosferę, do której organizm ludzki powoli gotów przywykać. Chrońmy się tej ostateczności i zamiast lamentów, zastanówmy się nad godną obroną nie słowem oczywiście, lecz czynem zbiorowym.

Snadź wszyscy zdajemy sobie sprawę z krytycznego położenia z jednej i z niedostateczności dotychczasowych sposobów i środków obrony, z drugiej strony. Potrzebę reformy w tym kierunku w zaborze pruskim uzasadnił i drogi na przyszłość wytknął p. Ostoja*).

Drogi to dobre, sięgają wszakże zadaleko w przyszłość, podczas gdy my tu na oczekaniu potrzebujemy sposobu godnego odparcia tyłu napaści. P. Ostoja zajmuje się zresztą więcej Poznańskiem, niż Śląskiem, który odmiennego nieco traktowania wymaga.

Politykę koła naszego w Berlinie, mocno nadszarpniętą, dobijając się dziś do władzy, nowe żywioły niewątpliwie w niezadługim czasie skierują na inną drogę.

Ale bawienie się w chowanego, jakie się odbywa pomiędzy naszymi prowodyrami śląskimi a centrum, wymaga niewątpliwie silniejszego bodźca z zewnątrz, aby się raz na

zawsze otrzasnąć z tych ubocznych naleciałości i o własnych siłach kroku spróbować.

Małoduszna nieszczerłość nie pozwoliła nam od samego początku przyznać się do narodowo-polskich dążeń przy wyborze naszych posłów i do dziś dnia nie zdobyła się na otwarte rozwinięcie polsko-demokratycznego sztandaru, pod którym niewątpliwie walczyliśmy

Niemcy widzą, co się święci i krzyczą w niebogłosy na naszą agitację narodową. My jednakże udajemy wobec tego najniewinniejszych, dowodząc, że lud śląski jak był dawniej, tak jest i obecnie wiernym poddanym Centrum niemieckiego, i byle tylko panowie Ballestrem i t. p. przestali się odgrażać biciem chłopów polskich po pysku, to on gotów tak samo Ballestremów wybierać według rozkazu, jak obecnie Szmulów i Radwańskich, a o agitacji t. zw. wielkopolskiej, czyli narodowo-polskiej, nie wie i na przyszłość jej się wyrzeka.

Jest to nieszczerłość, która na własnej naszej skórze najwięcej się odbija. Narodowo-polska agitacja była na Śląsku, jest obecnie, a w przyszłości tylko spotęgować się może, bez względu na to, czy się to podoba lub nie podoba pp. Bitterom. Zresztą prezesów regencyjnych i ministrów pruskich o sympatyzowanie z naszymi dążeniami na Śląsku nikt nie podejrzewa, trudno więc rozumieć, na kogo i za czem jeszcze oglądać się mamy.

Nieszczerłość ta i dwulicowość uwydatnia się na każdym kroku, w sposób dla nas zawsze szkodliwy.

U nas, jak to Wł. Bełza w dziełku «Na Śląsku polskim» dowodzi, już sama rozmowa polska, byle głośno prowadzona, pobudzając lud prosty do naśladownictwa, jest środkiem agitacyjnym bardzo pożądanym. Już samo zaznaczenie potrzeby mówienia głośno, dowodzi, że nie umiemy mówić ucziwie po naszymu, a w każdym razie, że nie umiemy mówić głośno.

Czas przedwyborczy wszędzie na świecie wyzyskiwany bywa na to, aby wiecami, zbraniami i w ogóle głośnym zachowaniem się nie tylko zwrócić uwagę ludu na sam akt wyborów, lecz wyzyskać sposobność taką w celu agitacji narodowej wogóle. Tak mianowicie postępują w Prusiech i na Warmii, gdzie w jednym tygodniu na kilku zebraniach, zwołanych w rozmaitych stronach, przemawiają: Milski, Kulerski i inni naprzemiennie.

Tu odmiennie się dzieje. Nie działacze nasi polityczni wywołują tu zdarzenia, lecz naodwrot, okoliczności zmuszają tu naszych prowodyrów do podążania za niemi.

Tem się też tłumaczy, że mimo licznych walnych bitew i mimo trzech wygranych walnych, ani jedno nazwisko nie łączy się z historią tych walk i zwycięstw.

Lud zwyciężył — tak brzmią biuletyny wojenne, a hetmani nasi, nie mogąc wymienić wielu bardziej zasłużonych ludzi, każą się domyślać, że to ich skromność tylko, własnych ich nazwisk wyraźnie wymienić nie pozwala. Tymczasem szeregowiec niezawsze tu mniej zasłużony od dowódcy.

Celem uniknięcia podejrzenia, jakoby się tu istotnie agitację polską uprawiało — zgroza! — zakłada się n. p. »Towarzystwo historyczne na Śląsku«, ale wszystko odbywa się tak skromniutko, że ludzie, którzyby w miarę sił pragnęli i mogli towarzystwo to zasilić, dopiero w dwa lata później przez Poznań i Lwów przypadkiem się dowiadują, że jest takie towarzystwo — nie wiedzieć, gdzie i na co, i że jest nawet majątek, nie wiedzieć, w jakim celu użyty. Niema w tem nic wyjątkowo złego, że zarząd tow. hist. nie mógł na czas wykonać tego, czego się podjął, bo nie potrzebna być zaiste redaktorem lub posłem, aby zrozumieć, że niezawsze wszystkiemu podołać można, lecz trudno zrozumieć, z jakich przyczyn zarząd sam siebie i całe towarzystwo

*) Patrz artykuł p. n. »Polityka polska wobec nawały pruskiej«. *Przegl. Wszechp.* Nr. 12.

taką tajemnicą otacza nazewnątrz, jak gdyby się bał pruskich przespiewców, lub jak gdyby pragnął wzbronić przystępu świeżym siłom, aby one snadź nie uchwyciły steru w swe dłonie, którego on utrzymać nie chce, czy nie umie.

Monopol ten niemocy czy nieudolności raz skończyć się powinien. Nastąpi to wtenczas, gdy się obok *Katolika* uczciwy współzawodnik na polu pracy narodowej ukaże.

Katolik, najstarsze i samym wiekiem już choćby najwięcej zasłużone pismo śląskie, mianowicie w ostatnim czasie znacznie postąpiło w kierunku narodowo-polskim. Jest to objaw tym bardziej pocieszający, ile że *Gazeta Opolska* i *Nowiny Raciborskie* nie wychodzą wiele po za ramy swego najbliższego obwodu.

Katolik jednakże z jego 18000 abonentów, z dodatkami: *Pracą* dla robotników hutniczych, *Rolnikiem* dla rolników, *Światłem* ilustrowanym tygodnikiem beletrystycznym i innymi wydawnictwami nie jest, według mego przekonania, w stanie podjąć pracy narodowej, w obwodzie górniczym nagromadzonej.

Pracę, jako organ związku robotników polskich liczącego około 4000 członków, należałoby podnieść do samodzielnego organu polskiego dla robotników polskich i rozszerzyć działalność jego oraz działalność związku usilną agitacją, sięgającą po za granice obwodu hutniczego górnośląskiego, tworząc stałe agencje w obwodzie kopalni wszystkich i morawskich, a nawet w obwodzie hutniczym Małopolski. Odpowiednio uzupełniona, mogłaby *Praca* w objętości do 3 arkuszy samodzielnie wychodzić i sobie, jako wydawnictwu, zapewnić utrzymanie, a sprawie robotniczej polskiej rozwój i postęp.

Tak samo ramy *Katolika*, jako pisma politycznego dla ludu, koniecznego wymagają rozszerzenia. Śląsk dziś jest tak rozbudzony pod względem narodowym, że może utrzymać pismo codzienne—o co się dawno dopomina—które musiałoby uchwycić kierownictwo w sprawie narodowej. *Katolik* przeobrażenia takiego może się bez ryzyka podjąć. Podwyższając stosownie przedpłatę, nie potrzebuje się zbyteżnego ubytku obawiać, bo lud tu dostatecznie jest na to zamożny i niemal każdy z abonentów zdobędzie się bodaj na zdwojenie opłaty. A część abonentów, któraby odpaść mogła i tak niekoniecznie zginie, bo zasili wzamian resztę naszych gazet.

To, co w dzisiejszych warunkach byłoby najlepszą odpowiedzią p. Bitterowi na jego zachowanie się wobec agitacji polskiej, na Śląsku, nastąpi w danym razie później, lecz ponieważ, bo na codzienne pismo Śląsk zbyt długo czekać nie pozwoli, a ludzi chętnych i zdolnych do pracy narodowej jest tu podostatkiem.

Nigdzie może prasa polska tak daleko nie odbiegła od wspólnego nam wszystkim źródła, jak na Śląsku. Nie jest to jej winą, bo prasa jest zwykle odbiciem stosunków swego otoczenia. Lecz nie mniej jest prawdą, że powinna być równocześnie drogowskazem i słupem ognistym, prowadzącym nas do ziemi obiecanej—narodowej samodzielności.

Odpowiedź na zaczepkę prezesa regencyi Opolskiej niech się objawi w formie nowego wydawnictwa polskiego lub innej jakiejś instytucji, utworzonej ile możności wspólnymi siłami i popartej przez naszą brać z innych zaborów.

Wobec wypierania się naszych polityków, że tu agitacji wielkopolskiej nie ma, należy właśnie udowodnić, że jest agitacja nawet wszechpolska, a tem samem podnieść poczucie wspólności i poczucie siły w tych, którzy tu cierpią za Polskę, a nie doznają nawet zadosyćuczynienia, aby ich liczone do synów tej wspólnej i jednej naszej ojczyzny.

Pierwszą pracą przyszłego dziennika śląskiego, to zwołanie wiecu w celu ukonstytuowania się polskiego ko-

mitetu wyborczego, — to urządzenie wieców z ramienia tego narodowo-polskiego komitetu i otwarte zerwanie z niemieckim Centrum.

Niech nasz ruch narodowy na Śląsku nie ulega dobrowolnie klerykalno-niemieckim wpływom, a przynajmniej niech nie wmawia tego w Niemców, lecz przeciwnie niech się od tej zależności uwolni i popłynie własnym, narodowym łożyskiem.

Uczciwymi sprzymierzeńcami Centrum pragniemy pozostać i nadal, lecz nasz stosunek lenniczy skończyć się powinien koniecznie i natychmiast, bo jako na nieszczerości i obłudzie oparty, korzystnym być nadal nie może.

Rozwiązanie to nastąpi najlegalniej na świecie utworzeniem się polskiego komitetu wyborczego na Śląsku, albo centralnego komitetu na cały zabór pruski. *)

Mareda.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

— *Polacy na Pomorzu.* Oprócz garstki Polaków, mieszkających od wieków w powiatach lawenburskim, słupskim i bytowskim, sporo naszych ziomków przebywa czasowo w prowincyi pomorskiej. Z Poznańskiego, Prus Zachodnich i nawet ze Śląska idą corocznie gromady ludzi »na Pomry«. Z tych wychodźców, jak obliczono, 93% wraca do domu, inni zaś na stałe lub na czas dłuższy zostają. Oprócz tego, po wydaniu praw wyjątkowych, wielu urzędników Polaków z dzielnic polskich przeniesiono na Pomorze, zwłaszcza wielu urzędników kolejowych, maszynistów, palaczy, szafnerów (konduktorów) i t. d. Przed 25 laty w prowincyi pomorskiej, oprócz kilku powiatów wschodnich i Szczecina nie było wcale prawie katolików. Obecnie liczba katolików wskutek napływu ludności polskiej wzrosła znacznie.

Szczecin liczy dziś 7283 katolików, Starogard pomorski 2553, Stralsund 1400, Pasewalk 1220, Słupsk 1200, Kołobrzeg 1114, Gryfia 770 i t. d. Nawet po wsiach dużo Polaków-katolików osiadło, np. w gminie Hoppenwalde 846, w Schiefelbein 200. Na wyspie Usedom było w r. z. 1220 katolików (głównie żołnierzy), w Bergen, na wyspie Rugii 240, na całej zaś wyspie 4500; po wsiach między Starogardem a Szczecinem 3500, w powiecie anklamskim 2000.

Powyższe liczby oznaczają tylko stale osiadłych katolików, i znacznie się podniosą, jeżeli dodamy do nich ludność przychodnią.

Pod względem zaspokojenia potrzeb religijnych i narodowych położenie Polaków-katolików »na Pomrach« jest opłakane. Liczba kościołów i księży jest niedostateczną, o nauce katechizmu, o przygotowywaniu dzieci do spowiedzi, zwłaszcza w języku polskim, mowy być nie może. W szkołach protestanckich religii katolickiej nie uczą wcale. Księża nie umieją po polsku i nawet przy dawaniu ślubów robotnikom polskim używają tłumaczy. Nawet niemieckie pisma katolickie domagają się wysłania na Pomorze chociażby kilku księży, mówiących po polsku.

Towarzystw polskich niema tam, zdaje się, wcale, z pism najwięcej czytelników ma *Gazeta gdańska*, która wysyła po kilka egzemplarzy w okolice Stralsundu, Gryfii, Anklam, do Szczecina i na Rugię. Rozszerzanie pism pol-

*) Zamieszczając ten artykuł, pochodzący od jednego z mieszkańców Śląska, powstrzymujemy się tymczasem z wypowiedzeniem własnego zdania w poruszonych sprawach. *Przyp. red.*

skich i zakładanie towarzystw — to jedyne dzisiaj środki ochrony narodowości i wiary. »Wiemy — pisze *Gazeta gdańska* — że i tam tegich wiarusów nie brak, a wiemy to z listów, do nas pisywanych. Są tam ludzie, odczuwający głęboko tęsknotę za krajem, starający się o współbraci swoich, ale liczba ich niewielka«. Jeżeli tacy ludzie są, to i w niewielkiej liczbie dużo zrobić mogą, zakładając przede wszystkim, gdzie się da, towarzystwa polskie.

PZREGLĄD PRASY.

— Ks. Stablewskiemu i p. Kościelskiemu, którzy pośpieszyli do Wrocławia na powitanie cara przykrem być musiało przypomnienie w *B. N. Nachrichten* ich mów na wiecu toruńskim, w których zapewniali, że Polacy w przyszłej wojnie pójdą z Niemcami przeciw Rosji. Zmieniły się dziś w obozie ugodowym kombinacje polityczne. *Kuryer poznański*, broniąc ks. Stablewskiego, wtrąca znaczące zdania, które w niżej podanym ustępie podkreślił:

„Nie zamysłamy wdawać się w polemikę z p. v. H., gdyż ze złą wolą polemika jest niemożliwą; pozwolimy sobie jednak przypomnieć temu panu, że Rosji *mogłoby ewentualnie tak samo chodzić o u:po:obienie mieszkańców wschodnich prowincyi monarchii pruskiej*, jak ze strony pruskiej już niejednokrotnie interesowano się żywo pytaniem, jakiego też ludność Królestwa zajęta stanowisko w razie wojny pomiędzy Rosją a Niemcami. Twierdzenie o sianiu nieufności do stosunków niemiecko-rosyjskich przez pewne stronnictwo polskie jest tak samo bezpodstawnym wymysłem, jak owo złośliwe posądzenie Najprzewielebn. X. Arcypasterza o uboczne tendencje mowy toruńskiej. Ówczesny ksiądz prałat i poseł do Sejmu w porywającej mowie, którą zakończył wiec toruński, stwierdził tylko i uwydatnił to, co poprzedni mówcy wiecowi wyrazili jako przekonanie całego wieca (??) — wszelkie przeto wietrzenie za osobistymi dążnościami mówcy było i pozostanie co najmniej niesmacznem...“

Ówczesni przeciwnicy Rosji gotowi są dziś współdziałać Wilhelmowi II i Mikołajowi II »w obronie najświętszych praw« władzy monarszej i klas uprzywilejowanych. Gdyby zaś tak wypadło, poszliby z Rosją przeciw Niemcom -- byle »w obronie najświętszych praw«.

— *Kuryer lwowski* podaje ciekawy list zmarłego niedawno Zygmunta Kaczkowskiego, wyjaśniający powody napisania *Teki Nieczui*:

„Chodziło mi — pisze w liście prywatnym do jednego z literatów, — aby w sposób dosadny wykazać, że partya krakowska przyjęła dwie fałszywe zasady, któremi są: wyrzeczenie się idei niepodległości Polski i poddanie polityki polskiej pod interes katolickiego kościoła. Wyrzeczenie się idei niepodległości musi koniecznie spowodować wynarodowienie, a kościół katolicki, będąc z natury swojej kosmopolitycznym, zawsze poświęci interes narodowości interesowi swemu. Mylą się też ci, którzy z dnia na dzień wyczekują drugiego tomu. To bowiem pewna, że drugi tom napiszę dopiero wtedy, jeżeli go jakaś ważna sprawa krajowa wywoła. Jeżeli kiedyś drugi tom wyjdzie, to będzie wymierzony przeciwko tym, którzy znowu zechcą Polskę wprowadzić w jakies obłądy — a kto to będzie, tego dziś wiedzieć nie można. Spodziewajmy się tymczasem, że takiego nie będzie, a przeto i drugiego tomu nie będzie...“

Zdaje się, że gdyby nie był w ostatnich latach znużonym i chorym, napisałby teraz właśnie tom drugi.

— Korespondent *Neue freie Presse*, zamieszczający w tem piśmie spostrzeżenia swoje nad Rosją, zebrane podczas koronacji, p. t. „*Momentaufnahmen in Russland*“, ostatni z tych artykułów poświęca kwestyi polskiej w Rosji. Elaborat ten po raz już niewiadomo który potwierdza znany fakt, że Rosya, największy wróg liberalizmu i jedyne państwo, naprawdę prześladowające Żydów, ma największe

szczęście do liberałów właśnie i Żydów całej Europy. Nie będziemy tu wnikać w przyczyny tego oryginalnego zjawiska, do których należy między innymi okoliczność, że rząd rosyjski, jedyny z pośród europejskich rozporządza nieograniczonym funduszem dyspozycyjnym, którego znaczna część idzie na urabianie opinii w obcych krajach; nie będziemy też rozbierali poglądów autora, który swym wodnistym artykułem zajął aż dwie kolumny w wiedeńskim dzienniku, zaznaczymy tylko, że przyczynę smutnego położenia Polaków widzi on w nas samych, a zwłaszcza w naszym... ultramontanizmie. Natomiast zwracamy przedewszystkiem uwagę na wywnętrznienia się w naszej sprawie (nie wiemy, o ile autentyczne) paru wybitnych osobistości rosyjskich, z któremi dziennikarz wiedeński rozmawiał i które poniekąd potwierdziły jego pogląd historyczny. Oto, co np. mówi Pobiedonoszew:

„Nie narodowość, nie wiara są powodem przepaści, jaka dzieli Polaków od nas, ale poddańczość, jaką Polacy okazują przodownikom *Ecclesiae militantis* i jezuitom, którzy wszelkimi sposobami starają się zdobyć napowrót utracone ludy“.

Inny »mąż stanu«, generał Kleigels, tak powiada:

„Znam Polaków — albowiem przez dość długi czas zajmowałem stanowisko oberpolciemajstra w Warszawie. Co do mnie, żyłem z nimi dobrze; Polacy pod względem osobistym zasługują na szacunek, lecz ich zapatrywania polityczne są wręcz chorobliwe. Tylko Polacy są winni, że za granicą istnieją fałszywe sądy o Rosji. We Lwowie i Krakowie istnieją fabryki, mające na celu rozszerzenie o nas kłamliwych wiadomości i wywieranie systematycznego wpływu na opinię publiczną zagranicą na naszą niekorzyść. Kierownicy tej czynności są nam dobrze znani; Rosya wytrzyma ich chęć czynienia złego, a z mej strony wyrażam tylko życzenie, aby Austria nigdy nie żałowała, że pozostawiła Polakom zbyt wolną rękę“

Okoliczność, że Mikołaj II wyjeżdża za granicę i że zachodzi potrzeba usposobienia odpowiedniego publiczności europejskiej na przybycie młodego cara tłumaczy nam następujące słowa dziennikarza wiedeńskiego:

„Mikołaj II, który więcej ludzkim jest, niż ojciec, zamierza, jak się zdaje, zmienić na lepsze formę rządu, jaka zakorzeniła się w Polsce. Zaraz po wstąpieniu na tron zazna- czył on, że zbadanie najważniejszych zażeń polskich uważa za rzecz doniosłej wagi. Co mogło wstrzymać od sprawiedliwej oceny stosunków polskich, jeżeli nawet gubernator Królestwa polskiego, hr. Szukałow, dawne środki drakońskie uważa za nieodpowiadające celowi? Łagodność cara natrafiła na opór. Obawiano się, iż możnaby ją źle zrozumieć i uważać ją za słabość. Zapewne nie przypadkowo zaproszono cara na wieczerd do Towarzystwa historycznego. Przedmiotem wykładu była Polska, a prelegentem szef św. synodu. W brutalny sposób i z bezwzględna zawzięcia zdierał ten prelegent osłonę romantyzmu, który miał połączyć ogień z wodą: polskie stronnictwo państwowe Czartoryskich z carem, a naturalnie zbierał tylko rozczarowania i nieszczęście, zamiast dobrego. „Aleksander I — wołał Pobiedonoszew z przekąsem wobec jego prawnuka — myślał o odbudowaniu Polski, gdyż nie znał ducha historyi, który stworzył przepaść między niezależną Polską a Rosją. Zwycięstwo jednego z tych państw pociągnęłoby za sobą upadek drugiego“.

„Wykład ten był wyrazem tylko opinii pewnej części rządu. Dalszy przebieg zajął świadczy o tem, że ministrowie starali się o polepszenie położenia w Polsce.

„Zrazu — mówiła do mnie pewna osobistość, mająca styczność z kołami dyplomatycznymi — chciano przekonać Polaków, że życzenia ich nie są dla rządu rosyjskiego obojętne. Rosya żałowała niejednokrotnie, że przyczyniła się do rozbioru Polski, który stworzył ognisko niezadowolenia, ranę na kresach naszych, umożliwiającą każdemu wrogowi uczynić ją na wypadek wojny jeszcze boleńszą. Popełniwszy raz ten błąd, nie można się już cofnąć. Trzeba więc wszelkimi sposobami starać się o polepszenie położenia. Może rozumne postępowanie doprowadzi do celu; kwestya ta pozostanie zawsze poważną. Nie pojmuję, jak można pod takimi warunkami przypisywać nam dążenia do aneksyi nowych krajów polskich. Mamy z naszymi Polakami aż nadto wiele do czynienia. Oby najbliższa przyszłość doprowadziła do porozumie-

nia z nimi, i pogodziła ich z myślą szukania swych celów w naszym państwie, bez narażania na niebezpieczeństwo jego podstaw“.

Autor rozmawiał i z ks. Uchtowskim, o którym istotnie nie można zapominać, gdy się dziś potrąca o stosunki polsko-rosyjskie. Ten się miał wypowiedzieć w sposób następujący:

„Zastajesz mnie pan wśród walki w obronie Polaków. Niestety, dążenia moje nie znajdują zrozumienia; uważają mnie za zwolennika polskiego stronnictwa państwowego. Nie jestem nim. Odbudowanie Polski uważam za utopię. Niech tylko spróbują po stu latach odbudować państwo w dawniejszych granicach! Nie trzeba zapominać, że w granicach dawnej Polski zmieniły się obyczaje, interesa materialne, potrzeby ludności. Nadto tworzenie małych państw z 10 do 15 milionową (?) ludnością nie zgadza się z wymaganiami naszych czasów. Nawet założenie państw chrześcijańskich na Bałkanach uważam pod tym względem za nieodpowiadające duchowi naszego czasu. Jestem przekonany, że państwa te złączą się w jedno wielkie mocarstwo lub utworzą unię. Mówią, że ludność ich różni zię pod względem narodowości. Czy można twierdzić o Polakach w Pruszech, Austrii i Rosyi, że okazują jeszcze równy charakter narodowy?

„Ale właśnie dlatego jest błędem, niegodnym potężnej Rosyi, że naraża wolność sumienia poddanych polskich, jak to niedawno stało się w Wilnie (może na Litwie?). Narodowi posiadającemu cywilizację, literaturę, nie trzeba odmawiać możności mówienia własnym językiem. Moi przodkowie stali na polach bitew przeciw Polakom: Mój ojciec był adiutantem w ks. Konstantego Pawłowicza. Mam jeszcze jego mundur przedziurawiony polskimi kulami. Posiadając takie relikwie, nie można być zwolennikiem polskiej idei państwowej; jako człowiek i Rosyanin jednakże objawiam życzenie, aby Polacy mogli zadość uczynić swym uczuciom narodowym. Jeżeli będą zaspokojeni pod tym względem, wtenczas można od nich wymagać, aby byli dobrymi obywatelami państwa rosyjskiego, a w danym razie można ich nawet surowymi środkami skłonić do wierności.“

Zwrócił się wreszcie autor do znanego generała Kiriejewa, który mu powiedział:

„Słowo Polska zawsze wywołuje we mnie wspomnienie młodych lat i gniew. Polacy sami sobie winni, że są ciemiężeni. Myślny często chcieli uwzględnić ich życzenia i za Aleksandra, i za Mikołaja I. Monarcha ten obiecał Polakom konstytucję i byłby dotrzymał słowa, ale Polacy odpowiedzieli: wszystko albo nie. Przez to utracili Polacy prawo powoływania się na „prawo historyczne“, którego zresztą nie uznają. Polacy żądają odbudowania Polski w terytoryalnych granicach 17/2 roku — a więc zawładnięcia kilku milionami Rosyan. I na to Rosya ma się zgodzić?“

Potem generał miał powtórzyć wątpliwej autentyczności rozmowę swoją z arcybiskupem Felińskim:

„Jednym z najpopularniejszych polskich agitatorów, z którym osobiście się zetknęłem, był arcybiskup Feliński. Wygłosił on raz bardzo ostrą podburzającą przeciw nam mowę. Car Mikołaj I kazał mu przybyć „ad audiendum verbum“ do Petersburga. Miałem zaszczyt towarzyszyć mu w tej podróży. W drodze zaczęliśmy mówić o polityce.

„To, czego chcą Polacy, rzekłem, jest niemożliwością bez otwartej wojny z Rosyą, Austrią i Prusami. Czy sądzisz pan, że macie tyle siły?“ — Na to rzekł arcybiskup: „*La Pologne ne raisonne pas, elle sent.*“ — „*Mais la politique n'est pas une affaire des sentiments*“ — odrzekłem. Charakter polski, — odparkł arcybiskup, — to charakter kobiety, nie męża. Polak dąży do swego celu bez zastanowienia, nie uchylając się od niebezpieczeństw. Nigdy! — zawołał on a oko jego zabłysło gniewem i ręka wzniosła się w górę, — nigdy nie wyrzekniemy się uczuć, płynących z tej ziemi, na której stało Królestwo Polskie. Dopóki jeden Polak żyć będzie na tej ziemi, nie będziecie mieć spokoju!“

„W tym też duchu — pojmują także nasi Polacy stanowisko swoich rodaków w Austrii.

„Są ludzie niedowarzeni, którzy biorą na seryo plany najbardziej awanturnicze. Marzą oni o wskrzeszeniu starej, jagiellońskiej idei, o utworzeniu wielkiego katolicko-słowiańskiego państwa, zwróconego przeciw Rosyi, a opartego o zesławianiszczoną Austrię. Nasi polscy poddani zapominają, że gdyby taka fantastyczna idea miała się urzeczywistnić odżyłby znowu duch Minina. Wszystkie nasze wojny miały pod pewnym względem charakter religijny, ale dla zniszczenia

takiego awanturniczego, polsko-mahometańskiego planu zbroiłoby się wszystko, co żyje, z niesłychanym zapadem, jak do wojny krzyżowej! A Austriya? Czy polscy głupcy myślą na prawdę, że ona da się sprowadzić na tak ślizkie drogi. że poświeci stanowisko swe w europejskiej grupie mocarstw i spokojnie pozeleguje na te niebezpieczne wody, na których dzięki cesarzowej Eugenii, rozbił się okręt Napoleona III? Ale poco takie widma poruszać? Żyjemy w czasach Francu Józefa I, czasy Ferdynanda II minęły. Państwowa przeczoność doświadczonego austriackiego władcy właściwą miarą oceni polskie zamysły, bez względu na to, co wrogowie Austrii na temat przyszłości jej mówić mogą. Także następcy Francu Józefa, nie zapomną nigdy mądrych zasad obecnego cesarza“.

Znamiennem bądź co bądź zjawiskiem jest to nieustanne poruszanie kwestyi polskiej ze strony rosyjskiej; bo że artykuł powyższy, bez względu na miejsce w którym, się ukazał i na osobę autora, należy także uważać za pochodzący ze strony rosyjskiej to nie ulega chyba wątpliwości.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze nieraz w przyszłości, tu więc tylko poprzestajemy na zanotowaniu samego faktu.

— W piśmie *Russkoje słowo* niejaki p. Wołkow zamieścił artykuł p. t. »Stańczycy warszawscy«. p. Wołkow ma wiadomości niezbyt dokładne o stosunkach polskich, jak świadczy np. podana przez niego geneza stronnictwa stańczyków:

„W pierwszej połowie lat 70-tych (sic!) b. wieku wydał w Krakowie historyk Szujski, ze współudziałem kilku innych osób, książkę p. t. »Teki Stańczyka«. która ostro osądziła działania rewolucyjne polskich rewolucjonistów i doradzała Polakom, by pogodzili się z rządami tych państw, w których mieszkają, starali się drogą legalną odbudować Rzeczpospolitą. Książka ta wzbudziła namiętne napaści ze strony większości Polaków i autorzy jej głośno byli wykliniani, jako »zdrajcy narodowej sprawy«, lecz w krótko naoko autorów »Teki«, poczędo grupować się stronnictwo, które otrzymało nazwę stańczyków“.

Wspomniawszy pobieżnie o tem, że podobny program wcześniej starał się urzeczywistnić Wielopolski, p. Wołkow rozprawia następnie o czynnej agitacyi w Warszawie i Petersburgu w celu utworzenia stronnictwa, działającego solidarnie ze stańczykami austriackimi i zapewnia; że ugodowcy idą ręką w rękę z politykami krakowskimi.

Warszawskij Dniownik, dotknięty osobiście, zabrał głos w tej sprawie i wykazawszy, że p. Wołkow popełnił cały szereg błędów i niedokładności, tak polemikę kończy:

„Co się zaś tyczy wymówek pod adresem »Warszawskij Dniew.« za to, że tenże rzekomo nie zna »prawdziwych dążeń krakowskich i warszawskich stańczyków«, nie wdaję się w dyskusję z powodu twierdzeń, nie opartych na jakichkolwiek pewnych danych, ale poprostu takich, które wypadły z pod pióra korespondenta, pozostawiamy w zupełności zasługę odkrycia stronnictwa »warszawskich stańczyków« p. Ł. Wołkowowi.

P. Wołkow istotnie dużo głupstw powiedział, ale w tem co mówi o solidarności warszawskich ugodowców i stańczyków, jest też dużo prawdy. Wie o tem zresztą *Dniownik*, który nieraz zestawiał poglądy *Kraju*, a nawet *Słowa*, z poglądami *Czasu*, elukubracje p. Straszewicza z elukubracjami p. Koźmiana i t. d. Pisał o tem i p. Markgrafskij, który nietylko z dzienników i książek, ale i ze swych specjalnych informacyi musi coś wiedzieć o „stańczykach warszawskich“.

Widocznie jednak ugodowcom i ich sojusznikom urzędowym trzeba, żeby o tem nie pisano zanadto wyraźnie.

— Znany p. Markgrafskij zamieścił niedawno w *Warszawskim Dniowniku* artykuł p. t. »Międzynarodówka i Polska niepodległa« w którym zaznacza, że socyślizm, nie uznający wogóle dążeń narodowych, oddawna zajmuje odmienne stanowisko względem patriotycznego ruchu polskiego. Polemika o sprawę polską w zagranicznej prasie

socjalistycznej przed otwarciem posiedzeń kongresu londyńskiego, tłumaczy powody tej »dziwnej« — dla p. Markgrafskiego sympaty.

Powód do tej polemiki dał zamieszczony w wiedeńskiej *Neue Zeit* artykuł „*warszawskiej uroźenki*“ Róży Luksemburg, która wydaje w Paryżu pismo p. t. *Sprawa robotnicza*, zwane ironicznie »organem socjalistów kraju nadwiślańskiego«. Panna Luksemburg zaznacza, że od lat kilku kierunek patryotyczny występuje coraz silniej w polskim ruchu socjalistycznym we wszystkich trzech zaborach, usiłuje jednak dowieść, że dla proletaryatu robotniczego sprawa niepodległości Polski jest obojętną i stanowi tylko cel dążeń mieszczańskiego stronnictwa patryotycznego.

Dosyć szczegółowo streszcza p. Markgrafskij odpowiedzi, jakie wywody panny Luksemburg wywołały: artykuł p. t. *Finis Poloniae* w temże piśmie, wreszcie artykuł Wrońskiego w dzienniku berlińskim *Vorwärts*. Ponieważ z dwóch pierwszych podawaliśmy już wyjątki, przytoczymy tu tylko zdanie Wrońskiego, który twierdzi, że ruch robotniczy powinien iść w Polsce ręką w rękę z ruchem patryotycznym i że w zaborze rosyjskim należy zjednoczyć do walki wszystkie siły rewolucyjne. Socjalizm międzynarodowy powinien dążyć do oderwania Polski od Rosyi.

„Niedźwiedziowi rosyjskiemu, w którego mocy znajdują się Polacy trzeba wbić w łapę taką drzazgę, żeby ten niedźwiedź, zajęty kłopotami wewnętrznymi, nie mógł przeszkadzać wybuchowi rewolucyi socyalnej w Europie zachodniej.

Wszyscy wymienieni autorowie zgodnie wyrażają poglądy, który najdobitniej zaznacza artykuł p. t. *Finis Poloniae*.

„Rewolucya nie może stanowczo zwyciężyć w Europie dopóki carat stoi niewzruszony. Wrogowie cara byli naturalnymi sojusznikami rewolucyi społecznej. Stary „internacjonal“ zstąpił do grobu, ale powstał nowy. Jak niegdyś dawny, tak teraz nowy powinien oświadczyć się za niepodległością Polski.

P. Markgrafskij wspomina o wniosku, podanym przez delegatów polskich, ale nie wyjaśnia, dlaczego wniosku tego nie uchwalono, o czem na innym miejscu mówimy, i wyraża nadzieję, że rozprawy o odbudowaniu Polski

„ostudziłyby trochę zapęły patryotyczne tych polskich stronnictw politycznych, które nie mają nic wspólnego z demokratami socyalnymi i lękają się widma rewolucyi społecznej.“

W nadziei tej utwierdzają go głosy umiarkowanych organów zagranicznej prasy polskiej. Pochwaliwszy *Przeгляд* i »demokratyczne« (?) *Słowo polskie*, p. Markgrafskij dochodzi do następujących wniosków:

„Prorocy rewolucyi społecznej agitują na rzecz odbudowania Polski nie dlatego, żeby Polska była im istotnie potrzebna, ale dlatego, żeby wzniecić nowe powstanie (?), wbić drzazgę w łapę niedźwiedzia rosyjskiego i odebrać mu swobodę ruchu i siłę do walki z socjalizmem. Polscy zaś socjaliści są kosmopolitami dopóty, dopóki nie występuje na widownię polska sprawa narodowa; w tej sprawie pociąga ich ogólny ruch patryotyczny i nienawiść do Rosyi, nie tylko jako do wroga wszelkiej anarchii, ale i jako do głównej przeszkody, utrudniającej odbudowanie Polski, mianowicie takiej Polski, w której demokraci socyalni graliby główną rolę. Dlatego kierują lub może zamierzają skierować wszystkie siły do walki z Rosją za pomocą rewolucyi.

Te dążenia, zdaniem p. Markgrafskiego nie tyle są groźne dla Rosyi, ile dla Polaków, mianowicie

„dla tej umiarkowanej części społeczeństwa polskiego, ściśle związanej interesami z Rosją. Każda próba zachwiania tej łączności narazi ludność polską na nieobliczone klęski. Oprócz tego pseudo-patryotyczne (?) zabiegi socjalistów polskich powinny być wskazówką, czego mogłaby oczekiwać „burżuazya“ i wogóle zachowawcza część ludności, gdyby pożądaną patryotyczne Polaków, nadspodziewanie (*pacze czajają*) się urzeczywistniły. Inteligencya polska marzy o Polsce niepodległej, jak o jakimś Eldorado, w którym oświecony i przejęty uczuciem patryotyzmu lud prosty będzie po dawnemu uznawał przewagę szlachty i bez skarg znosił dolegliwości materialne dla niej“.

„Ale niech pomyśli ta inteligencya, w co zamienić się może ta niepodległość? W panowanie demagogów i zwolenników rewolucyi społecznej. Niechaj pomyślą o tem polscy politycy-patryoci i kierownicy opinii publicznej.“

Tacy kierownicy opinii publicznej, którzy zgadzają się z p. Markgrafskim są już u nas. *Gazeta narodowa* oświadczyła niedawno, że woli knut moskiewski i pikelhaubę pruską, niż tryumf socjalizmu. Ale p. Markgrafskiemu właściwie o co innego chodzi. Chciałby on przekonać polityków polskich, że

„dążeniami swemi do osiągnięcia celów nieosiągalnych rozwijają tylko teorye krańcowe i ubocznie popierają rewolucyjną społeczność.“

Da liegt der Hund begraben — to jest cel główny tej grubo-naiwnej argumentacji.

— Niedawno doniosły niektóre pisma nasze o zamierzonym założeniu polskiego seminaryum nauczycielskiego w Cieszynie. Wiadomość o tem okazała się nieprawdziwą, a przynajmniej przedwczesną. Ale chociaż seminaryum na Śląsku nie założono, pisma niemieckie uderzyły na alarm i jedno z nich, *Deutsche Zeitung*, tak pisze:

„Celem spolonizowania Śląska uczyniono dalszy krok przez zapowiedziane już utworzenie polskiego seminaryum nauczycielskiego na Śląsku. Seminaryum to otwartem jednak będzie podstępnie, na galicyjskiej ziemi, tuż przy granicy śląskiej, a mianowicie w Żywcu. Otwarcie, według doniesień polskich, ma nastąpić z początkiem roku szkolnego 1897/8. W ten sposób mają paść dwie muchy na raz; po pierwsze, ma być w ten sposób rozpoczęte polszenie nauczycielstwa śląskiego, a nadto ma zakład być usuniętym zupełnie z pod dozoru władz śląskich. Czy Ślązacy pozwolą na to?

Ma się rozumieć, Niemcy śląscy, chociażby chcieli, nie na to poradzić nie mogą, bo seminaryum w Żywcu zależy od władz krajowych galicyjskich. Najlepszą odpowiedzią na tego rodzaju pretensye, byłaby energiczna agitacja za otwarciem seminaryum polskiego w Cieszynie.

— Pisma francuskie wysadzają się na rozmaite pomysły przyjęcia cara w Paryżu. Przesadny zapał staje się już śmiesznym i nawet Cassagnac w *Autorité* ostrzega, żeby nie dawano zagranicznym pismom humorystycznym tematów do karykatur.

Są jednak dzienniki, protestujące przeciw temu szalowi. Organ Clemenceau, *Justice*, nie podziela ogólnego zachwyty, *Libre parole* Drummonta drwi z nawróconych na caryzm republikanów. *Le parti ouvrier* pisze z nietajonem oburzeniem:

„Naród, który uważa się za najdowiepuniejszy ze wszystkich, przedstawia nadzwyczajne widowisko. Większa część demokratów, zapominając o swych tradycjach, będzie się płaszczyła i to przed kim? Przed posłancem wielkiej rzeczypospolitej, przed znakomitym człowiekiem, którego geniusz jest na usługi ludzkości? Nie! Przed najautokratyczniejszym z mocarzy, przed carem! Co się stało z dawną naszą dumą, z odezwaniami powołującymi ludy do wolności? Dziś wmawiają w lud, który ogłosił prawa człowieka, że ma witać marsylianką (pieśnią, która musiała się nie podobać Suworowowi) przybycie największego z despotów“.

Dzienniki monarchiczne, chociaż ogólny zapał podziela, cieszą się złośliwie z upodlenia republikanów:

„Przygotowują się — pisze *La Gazette de France* — do schowania pod fałdami chorągwi rosyjskich świętej formuły: Wolność, równość, braterstwo! Kto się wyrzeka Boga, ten się korzy przed butem i ostrogami carskimi!“

Ale i ci, co nie wyrzekli się Boga, korzą się przed »butem carskim«, bo n. p. jakiś ksiądz zachęca duchowieństwo do składek na szczerozłoty krucyfiks dla cara.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— *Sprawa armeńska.* Zuchwałym, rozpaczliwym napadem na Bank otomański przypomnieli znowu Armeńczycy Europie swoją sprawę i zmusili dyplomatów do zajęcia się nią. Bezpośredni jednak następstwem śmiałego zamachu była straszna rzeź, jaką urządzili Turcy w dzielnicy ormiańskiej. Około 2000 Ormian zginęło, a tysiące codziennie opuszczają Konstantynopol. Rosya nie chce przyjmować wychodźców i dwa okręty, które przybyły do Batumu i Odesy, musiały odplynąć napowrót, bo nie pozwolono im ani jednego człowieka na ląd wysadzić.

Wkrótce po tej rzezi komitet centralny patryotycznych towarzystw ormiańskich, noszący nazwę *Dasznak Zutium* przesłał przedstawicielom mocarstw w Konstantynopolu następujące żądania:

Mianowanie dla Armenii komisarza pochodzenia europejskiego, którego wybierze 6 mocarstw europejskich. Urzędników krajowych wybiera wymieniony komisarz, a zatwierdza sułtan. Z ludności krajowej ma być zorganizowane wojsko, żandarmerya i policya pod rozkazem europejskich oficerów. Należy przeprowadzić zmianę sądownictwa podług systemu europejskiego i przyznać zupełną wolność religii, nauki i prasy. Trzy czwarte części dochodów z kraju obracać należy na potrzeby miejscowe. Armeńczycy żądają uwolnienia od podatków na lat pięć, a podczas następnych pięciu lat przeznaczenia podatków na odszkodowanie za straty, spowodowane ostatnimi rozruchami. Domagają się natychmiastowego zwrotu posiadłości, zabranych przemocą, wolnego powrotu dla wychodźców armeńskich, powszechnego przebaczenia dla Armeńczyków, skazanych na karę za sprawy polityczne, i mianowania komisji utworzonej na pewien czas z reprezentantów mocarstw, która czuwałaby nad wykonaniem żądań.

Skromność tych żądań wykazuje najlepiej kłamliwość informacji dzienników rosyjskich i francuskich, które patryotów armeńskich nazywają skrajnymi rewolucjonistami lub nawet anarchistami.

»To są nasze żądania — powiada komitet. Nie cofniemy się przed żadną ofiarą, aby dojść do celu. Odtąd uważamy się za wolnych od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Naprzód już ubolewamy nad stratą wszystkich tych, którzy — czy to obcy, czy krajowcy — padną ofiarą powszechnego powstania. Ubolewamy nad nimi, ale wobec powszechnego nieszczęścia żałoba jednostki nie może być braną w rachubę. Umrzemy — wiemy o tem dobrze — lecz rewolucya, która przeniknęła naród armeński do szpiku kości, będzie bezustanną groźbą dla tronu sułtana, dopóki pozostanie przy życiu choćby jeden tylko Armeńczyk«.

Że to zapewnienie nie jest tylko retorycznym zwrotem, świadczą wypadki w Konstantynopolu. Komitet armeński zapowiedział, że jeżeli okrutne prześladowania nie ustaną, rozruchy, bez względu na następstwa, wybuchną znowu.

Dawniej, gdy każdy ruch ludów, walczących o wolność, znajdował sympatyę w Europie, sprawa armeńska miałaby opiekunów i przyjaciół gorących w każdym kraju. Dziś w Anglii tylko opinia publiczna szczerze oburza się na okrucieństwa tureckie, ale i w tem nawet oburzeniu interes gra może pewną rolę, a niewątpliwie bardzo dużo dopomogła sprawie armeńskiej zręczna agitacja ich przedstawicieli. Wszystkie stronnictwa angielskie jednomyślnie oświadczają się przeciw Turcyj. Stary Gladstone przemawiać ma na meetingu, zwołanym w celu wyrażenia współczucia dla Ormian. W jednym dniu Salisbury otrzymał 1000 telegramów, żądających detronizacji sułtana i czynnego wmięszania się Anglii do spraw tureckich.

Patryoci armeńscy przenieśli agitację z Anglii na ląd stały. Kongres etyczny z Zurychu ogłosił przychylną dla ich sprawy uchwałę. W Niemczech porusza opinię publiczną dr. Lepsius, syn sławnego egiptologa, który niedawno zwiedził Armenię i naoznie przekonał się o okrucieństwach tureckich. Z inicjatywy jego zwołano wielkie zgromadzenie, na które przybył z Londynu znany patryota armeński, profesor Tumajan. Książka, którą niedawno wydał Lepsius podaje straszne fakty:

»Naliczono dotąd zamordowanych chrześcian 65.000, spustoszonych wsi i miast około 2.500, zburzonych kościołów i klasztorów 568, gwałtownie na mahometanizm »nawróconych« pozostałych przy życiu mieszkańców 559 wiosek i liczne rodziny po miastach, zamienionych na świątynie tureckie kościołów chrześciańskich 82, chrześcian pozabawionych dachu i chleba pół miliona. Cyfry powyższe nie obejmują wszystkich miejscowości. W rzeczywistości utraciło życie co najmniej sto tysięcy chrześcian«.

Armeńczycy, biorąc rzecz formalnie, sami dali powód do tych okrucieństw; bo nie chcieli dłużej znosić poniżenia i niewoli. Dzięki jednak tym ofiarom sprawa ich tak już dziś stoi, że w bliskiej przyszłości otrzymają to, za co z góry tak drogo zapłacili. Drugie tyle ofiar Turcy jeszcze wymordować mogą, rozruchy armeńskie mogą wywołać straszne rzezie, a nawet wojnę europejską, ale niezależność zupełna lub przynajmniej autonomia musi być Armenii niewątpliwie przyznana.

Z państw europejskich jedna tylko Rosya okazuje się jawnie nieprzychylną dla dążeń armeńskich. *Corresp. d'Est* donosi, że car, podczas pobytu w Wiedniu, dowiedziawszy się o rozruchach armeńskich, wyraził ambasadorowi tureckiemu, Machmudowi Nedimowi, sympatyę dla sułtana i państwa tureckiego i oświadczył, że Ormianie są agitatorami, nie zasługującymi na litość i że w Rosyi również zauważano ich roboty rewolucyjne. Naturalnie dla Rosyi wolna Armenia w sąsiedztwie Kaukazu byłaby ciągną groźbą.

— *Międzynarodowy zjazd robotniczy w Londynie.* Dopiero dzisiaj zamieszczamy krótkie sprawozdanie z przebiegu tego zjazdu odbytego w ostatnich dniach lipca. Niedokładne i bałamutne szczegóły, podawane w pismach różnych odcieni nie pozwalały dość długo zorientować się w tym chaosie i sprawiedliwie ocenić doniosłości zdarzenia. Obecnie, na podstawie wiarogodnych sprawozdań wywiązujemy się z tej zaległości.

Obrady zjazdu poprzedziła 26 lipca demonstracya w Hyde-Parku, która miała na celu protest przeciwko militarystom. W pochodzie wzięło udział sto tysięcy osób, z 12 mównic urządzonych w parku przemawiali wszyscy wybitniejsi przedstawiciele ruchu socjalistycznego i trade-unionistowskiego, z Anglii i kontynentu. W imieniu polskiej partyi socjalistycznej przemawiał I. Daszyński z Krakowa o ruchu dzisiejszego proletaryatu, i wskazując na carat rosyjski, jako na największą groźbę dla pokoju europejskiego.

Następnego dnia rozpoczęły się obrady. Zjazd, podzieliwszy się na delegacye narodowe, zajął się przede wszystkim sprawdzaniem mandatów, co zajęło całe trzy dni. Jeżeli więc odliczymy dzień ostatni, w ciągu którego rozpatrywano warunki udziału w przyszłym zjeździe, to na właściwe obrady nad postawionymi wnioskami pozostało zaledwie dwa dni, czyli cztery posiedzenia po 2—3 godziny. Oczywiście czas to zakrótki dla omówienia choćby pobieżnego tak ważnych kwestyi jakie Zjazdowi przedstawił. Przytem różnorodność delegatów ujemnie wpłynęła na przebieg kongresu.

Zwłaszcza dało się to uczuć dnia pierwszego, kiedy prezydent Cowey, Anglik, nie znając wcale obcych

języków, nie był w stanie zapobiedz burzliwym scenom, wywoływanym przeważnie przez anarchistów francuskich. Dopiero dnia następnego Singer, socjalny demokrat niemiecki, zdołał zapanować nad sytuacją i wprowadzić ład w dyskusjach.

Delegatów przyjęto ogółem 758, odrzucono mandatów 21. Najwięcej oczywiście było delegatów angielskich, bo 475, Francuzi mieli 123, Niemcy 46, Belgia 19, Holandia i Polska po 13, Włochy i Szwajcarya po 12, Rosya 8, Dania 7, Hiszpania 6, Bułgarya 4, Szwecya 2, Czechy, Kroacya, Węgry, Rumunia i t. d. po 1. Delegacya polska składała się z 10 przedstawicieli polskiej partyi socjalistycznej z trzech zaborów i 4 zwolenników czasopisma *Sprawa robotnicza*; z ostatnich do kongresu jednego nie dopuszczono, jako nie mogącego się oczyścić z dość ciężkich zarzutów moralnych. Burzliwość pierwszego posiedzenia powstała dzięki anarchistom, którzy pomimo znanej rezolucyi zuryskiej, wyłączającej ich absolutnie od udziału w kongresach robotniczych, gwałtem chcieli w obecnym zjeździe uczestniczyć, w tym tylko celu, aby nie dopuścić do rezolucyi i rozbić go. Rzecz szczególna, że znaleźli oni obrońców nie tylko w blankistach i alemanistach, stanowiących większość w delegacyi francuskiej, ale też ze strony angielskiej »Niezależnej Partyi Pracy«, w której imieniu przemawiali Tom Mann i Keir Hardie, oraz ze strony Holendrów w osobie Domeli Nieuwenhuisa. Ostatecznie za wyrzuceniem anarchistów głosowało 18 narodowości (w tej liczbie i Polska), przeciw tylko 2 (Francya i Holandia). Dopiero po takim załatwieniu obrady zaczęły toczyć się poważnie.

Pisma nieprzychylnie ruchowi socjalistycznemu, wykazują burzliwość pierwszego dnia obrad dla ośmieszenia socjalizmu, zapominając o tem, że zjazd ten, jak i poprzednie, nie składał się z samych socjalistów, bo oprócz żywiołów anarchistycznych mniej lub więcej wyraźnych, większość delegatów, jak n. p. takich Trade-Unionów angielskich, stanowią ludzie, nie przynajęcy się do socjalizmu, ani do zasad jego, ani do nazwy. Jeżeli więc ogólny przebieg zjazdu, zwłaszcza na początku, wywarł niesmaczne wrażenie, jak to przyznają sami socjaliści, to wina tego leży przedewszystkiem w różnorodności żywiołów zgromadzonych w jednym miejscu.

Nie ulega wątpliwości, że wśród samych przedstawicieli grup robotniczych panują różnice w zapatrywaniach bardzo znaczne, które, jak przebieg kongresu wskazuje, dość ostro się zaznaczyły. To też istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że przyszły zjazd nosić będzie charakter ściśle socjalistyczny z wyłączeniem żywiołów, kierunkowi temu mniej lub więcej nieprzychylnych.

Pomimo wszakże różnicy poglądów na poszczególne kwestye zjazd londyński postawił pewną ilość rezolucyi, które pokrótce streścimy. Wniosków nadesłanych było około 100, które podzielono na 8 grup. Pierwszy punkt porządku dziennego stanowiła *kwestya rolna*. Zgodzono się wprawdzie, że koniecznym jest zniesienie prywatnej własności roli i zaprowadzenie kolektywnej gospodarki, ale z uwagi na odmienne stosunki agrarne w oddzielnych krajach, zdecydowano pozostawienie każdej narodowości wolnej ręki co do określenia taktyki i środków, prowadzących do wspólnego celu, w ten sposób, aby odpowiadały najlepiej warunkom każdego kraju.

Drugi punkt, mianowicie *akcya polityczna*, jest ciekawy dla nas z tego względu, że przy nim delegacya polska postawiła wniosek uznania niepodległości Polski, który wywołał dość długi, bądź co bądź korzystną dla sprawy polskiej, polemikę w prasie europejskiej. Już w komisji jednak redakcya tego wniosku uległa całkowitej zmianie, pomimo życzliwosci, jakiej Polska doznawała ze strony

zwłaszcza delegatów angielskich i włoskich. Wszyscy prawie członkowie komisji wypowiedali się w zasadzie za rezolucyą delegacyi polskiej, ale zwracali uwagę, że kwestya powinna być traktowana ogólnie, nie w stosunku do Polski jedynie, jeżeli bowiem kongres wyraźnie się wypowie, że sympatyzuje z dążeniem narodów ujarzmionych do samodzielności, to wtedy upada sama przez się potrzeba omawiania tego co do każdej narodowości oddzielnie. Argumentacya to prowadząca bądź co bądź do delikatnego usunięcia kwestyi z porządku dziennego. Zamiast więc redakcya, proponowanej przez delegacyę polską, uchwalono rezolucyę w następujących słowach: »Kongres oświadcza, że przyznaje każdej narodowości zupełne prawo stanowienia o swym losie („*Volles Bestimmungsrecht*“) i wyraża swoje sympatye robotnikom wszystkich krajów, które jęczą pod jarzmem despotyzmu militarnego, *narodowego* lub innego«.

Należy zaznaczyć, że do usunięcia wniosku o niepodległości Polski głównie przyczynili się delegaci francuscy. Zachowanie się ich w ciągu całego zjazdu wyraźnie świadczyło, że obecny obłęd Francuzów na punkcie wszystkiego, co rosyjskie, w części dotknął i socjalistów francuskich wszelkich odcieni. Gdy przemawiał delegat polski lub była mowa o Polsce, odzywały się okłaski z pośród Anglików, przy milezeniu i obojętności Francuzów, którzy dopiero wtedy bili brawo, gdy pokazał się Rosyanin. Już to jedno dowodzić się zdaje, że międzynarodowość obecnego ruchu socjalistycznego jest mocno problematyczną, skoro różne sympatye i antypatye narodowościowe w podobny sposób ujawniać się mogą.

Niepodobna nam dla braku miejsca powtarzać tu w całkowitem brzmieniu wszystkich rezolucyi, które zresztą niewiele się różnią od uchwał poprzednich zjazdów, dlatego też pobeżnie tylko zaznaczymy ważniejsze szczegóły. Co do akcya politycznej kongres uznał za konieczne ustanowienie międzynarodowej republiki socjalistycznej z powszechnem głosowaniem i równem prawem głosu dla dorosłych, z prawem inicjatywy, referendum w państwie i gminie.

Co do punktu: *akcya ekonomiczna*, kongres wyraźnie zaznaczył, że obok walki ekonomicznej konieczną jest równolegle prowadzona walka polityczna, że wszystko, co robotnicy zdobędą, musi być potwierdzone przez prawo, jeżeli ma być trwałe; że w wielu gałęziach pracy walka ekonomiczna, jak strejki, bojkoty itp., może być zastąpiona przez środki prawodawcze.

Przy punkcie: *wojna* żąda kongres zniesienia stałych armii i uzbrojenia całego ludu, ustanowienia trybunału rozjemczego dla załatwiania sporów między narodami i przedstawienia ludowi decyzji ostatecznej co do pokoju i wojny.

Obradowano dalej nad *organizacją międzynarodową*, przyczem uchwalono urządzenie na próbę stałego biura międzynarodowego z sekretarzem odpowiedzialnym oraz konieczność międzynarodowych informacyi ekonomicznych.

Przy obradach nad *wychowaniem i rozwojem fizycznym* zalecono zorganizowanie kompletnego systemu wychowania pod kontrolą publiczną, co powinno być bezpłatnem całkowicie, oraz powzięto różne postanowienia, mające na celu ochronę dzieci i młodzieży przed zgubnymi skutkami wyzysku kapitalistycznego.

Oto cały plon kongresu londyńskiego. Jak widzimy, nie jest on zbyt obfity; nie zadowolnił on nawet największych optymistów z obozu socjalistycznego. Przebieg jego dość wyraźnie dowodzi, że międzynarodowa solidarność robotników stoi na bardzo kruchych podstawach, że przeciwnieństwa narodowościowe odgrywają zbyt ważną rolę, aby można je było lekceważyć, wreszcie i tę, że wśród samego stronnictwa socjalistycznego okazuje się coraz wyraźniejsza

tendencya do różnicowania, która ostateczne jego skonsolidowanie oddała w przyszłość nieokreśloną.

= *Słoweńcy i hr. Badeni*. Hr. Badeni zwiedza obecnie Gorycę, Istrię i Tryest, gdzie Słoweńcy witają go bardzo uprzejmie, nawet entuzjastycznie i — z czego być może niebardzo jest zadowolony — przypominają mu wciąż jego pochodzenie polskie. Już poprzednio w Lublanie burmistrz powitał go przemową w języku polskim. Teraz wychodzący w Gorycy tygodnik słoweński zamieścił napisany po polsku artykuł wstępny, którym wita p. Badeniego »nie tylko jako pierwszego doradcę korony, ale i jako syna bratniego narodu polskiego«. Wyliczywszy krzywdy, jakich doznaje lud słoweński, pismo wspomniane wyżej woła. »Przypomnij sobie, że nasz lud jest tej samej krwi i tego samego szczepu, co szlachetny naród, którego wielkim symem z chlubą się zowiesz.«

W jakimś miasteczku pani Konjedicowa wręczyła hr. Badeniemu bukiet i pozdrowiła go serdecznie w imieniu kobiet słoweńskich, »podziwiających patryotyzm kobiet polskich, który jest dla nas wzorem, jak należy kochać swój naród i umieć za niego cierpieć«. »Radość przepęlnia nasze serca, że syn tego wielkiego bratniego narodu przybył do nas, opuszczonych przez wszystkich Słoweńców.«

Z pewnem zdziwieniem prawdopodobnie dowiedziały się od tych poczciwych pobratymców hr. Badeni, że jest takim patryotą polskim, ale przekonał się zarazem, że nie zawsze i nie wszędzie polskość jest przeszkodą dla męża stanu.

= *Wojna domowa w Brazylii*. Jak donosi *Polonia* w d. 1 sierpnia otrzymano w Curytybie depezę z Palmas z prośbą o pomoc wojskową, bo obywatele stanu St. Catharina wkroczyli zbrojnie na terytorium Parany i rozpoczynają wojnę, twierdząc, że granice ich kraju sięgają dalej, niż oznaczono obecnie. Z Palmas, Lapy i Rio Negro piszą że »mieszkańcy tych okolic (są tam kolonie polskie) zaciągają się do legionów« i »na zabój wypędzają nieprzyjaciela«.

Wojna strasznych rozmiarów nie przybierze. Posiłki, wysłane z Curytyby na plac boju, wynoszą 100 uzbrojonych żołnierzy, którzy »wyjechali osobnym pociągiem z żonami i dziećmi«. Nieprzyjaciel, t. j. mieszkańcy S. Cathariny »rozłożył się nad Rio Preto obozem, w liczbie 46 ludzi i oczekuje ataku«. Na zebraniu ludowem w Curytybie rozprawiano o przedmiocie sporu i uchwalono bronić zawzięcie granic Parany i wroga odeprzeć.

Cała ta wojna przedstawia się dosyć komicznie i prawdopodobnie oba waleczne wojska niewiele krwi wyleją. Ale możliwość tego rodzaju sporów między dwiema prowincjami jednego państwa daje pojęcie o anarchii, panującej w Brazylii.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= Wybory do sejmu śląskiego dały w ks. cieszyńskim oczekiwane rezultaty. Z kuryi wiejskiej posiadłości wyszli sami posłowie narodowi: Cienciada, ks. Świeży i Michejda, Polacy, oraz Czech, Hruba. W kuryi miejskiej dwaj kandydaci polscy, Dyboski i Kreisel dostali tylko bardzo małą ilość głosów. Utrzymał się więc dotychczasowy stosunek liezbny mandatów polskich i niemieckich.

= W Wiedniu skazano na miesiąc więzienia Józefa Kolińskiego, emigranta z r. 1863 za to, że wydalony z Ga-

licy w r. 1863 wrócił obecnie bez pozwolenia. Koliński, b. ekonom, za udział w powstaniu skazany do robót ciężkich na Syberyi, uciekł stamtąd i przybył do Lwowa, skąd jednak bez powodu kazano mu wyjechać. Po 27 letniej tułaczce starzec (liczy 66 lat) chciał wrócić do kraju, ale schwytano go w Wiedniu, skazano na więzienie, a po odbyciu kary znowu będzie z granic państwa wydalony. Koledzy jego z powstania i jak on również emigranci są dziś w Galicyi wysokimi urzędnikami, posłami, członkami izby panów i t. d.

= Przed sądem ławniczym w Nowym (Prusy Zachodnie) 16 letnia dziewczyna Polka nie chciała pod przysięgą zeznać o nie miecku, twierdząc, że dostatecznie nie zna tego języka. Sędzia, wychodząc z zasady, że była w szkole, więc po niemiecku umieć powinna, zagroził jej aresztem, jeżeli nie będzie dawała zeznań w języku urzędowym.

= Kolej nadwiślańska od 1 lipca r. 1897 przejeżdża na własność rządu, znowu więc kilkuset Polaków utraci zapewne posady.

= Dzienniki hakatystowskie odkryły, że propagandę polską w zaborze pruskim zasiałami rosyjskimi słowiańskie towarzystwo dobroczynności (!).

= Następcą hr. Szuwałowa, który z powodu zdrowia zmuszony będzie zapewne usunąć się ze stanowiska generał-gubernatora warszawskiego, ma zostać podobno ksiądz Imereyński.

= Włościanie, których kilkanaście tysięcy sprowadzono do Kijowa na przyjazd cara, tworzyć mieli honorową straż bezpieczeństwa. Ale zrozumieli oni swoje zadanie, że mają bronić cara od panów i samowolnie zaczęli aresztować, a nawet bić osoby, które wydawały się im podejrzanymi, musiano więc straż tę rozpuścić.

= Pozwolenie władzy na otwarcie 2 klasy gimnazjum polskiego w Cieszynie wydane zostało, ale dopiero w pierwszych dniach września.

= Francuzi chcą wszystkim dzieciom płci męskiej, urodzonym w dniu przybycia cara, nadać imię Mikołaj, a dzieciom płci żeńskiej — Aleksandra. Niektóre dzienniki zamierzają w tym dniu uroczystym dać artykuły wstępne w języku rosyjskim.

= „Sokół“ polski we Wrocławiu liczy 61 członków.

= *Słowo* warszawskie pisze, że podczas pobytu cara w Kijowie »zjazd Polaków z prowincyi był niezmiernie liczny; zamężne rody obywatelskie wystąpiły doborowych (?) przedstawicieli“. Było 4 Lubomirskich, 5 Tyszkiewiczów, 4 Grocholskich, 3 Stadniekich, Branicy, Kzewuscy, Radziwiłłowie, Potocecy, Szembekowie, Sanguszkowie i t. d.

= W Berchem pod Antwerpią aresztowano dwóch Irlandczyków, w których mieszkaniu znaleziono zapas bomb i materiałów wybuchowych. Jednocześnie aresztowano kilku ludzi w Rotterdamie, i Londynie. W Boulogne schwytano znanego Tynnana, od lat kilkunastu poszukiwanego zabójcę Cavendisha i Burkego w Dublinie. Brien, naczelnik policji angielskiej, sądzi, że aresztowani chcieli wykonać zamach na cara i że mieli stosunki z emigrantami rosyjskimi.

= Właściciel Czachówki (Prusy Zachodnie), Niemiec i luter, oparł się stanowczo postanowieniu władzy kościelnej, żeby folwark jego przyłączono do parafii w Biskupiu, ponieważ proboszcz zaprowadził tam kazania niemieckie, więc robotnicy Polacy zamiast do kościoła, chodzą do karczmy i w poniedziałek źle pracują.

Od Administracyi.

Szanownych prenumeratorów naszych, którzy dotychczas nie wnieśli przedpłaty za drugie półrocze upraszamy o jak najspieszniejsze przesłanie należności.

TREŚĆ: Podróże Mikołaja II po Europie. — Lud wiejski w królestwie kongresowem wobec rządu i jego usiłowań. II., nap. S. K. — Nasza młodzież na kresach wschodnich. Pogadanka kijowska, nap. Jan Motor. — Z całej Polski, nap. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa). — Z zaboru pruskiego (Poznań, Prusy zachodnie). — Z Galicyi (Lwów). — Z kresów (Górny Śląsk). — Z wychodźstwa i kolonii. — Przegląd prasy. — Z obcego świata. — Kronika bieżąca.